Nr. 4. Lwów, dnia 15. kwietnia 1895. Rok XVIII.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 franców.

ORGAN GAL. TOWARZYSTWA ŁOWIECKIEGO.

WYCHODZI z początkiem każdego miesiąca.

Typy parostków

Studyum przyrodniczo-łowieckie

SKREŚLIŁ

WŁADYSŁAW SPAUSTA.

W dążeniu do tożsamości cechuje przedziwna rozmaitość dzieła przyrody — nie znajdzie dwojga bliźniąt zupełnie jednakowych, niema dwóch liści wśród oceanu liścia na drzewie przystających wzajemnie, niema też i dwóch parostków kozłich jednakowych, pomimo, że istnieje pewne zasadnicze prawidło, według którego wszystkie na świecie parostki są zbudowane. Stosunki otoczenia, wolność indywidualna, potęga dziedziczności i tysiące innych wpływów w rozmaity sposób każą się grupować materyi dążąc do zasadniczych kształtów — i sprawdza się tu wszędzie: *Si duo faciunt idem, non est idem.*

Nie mówiąc już o zboczeniach pod wpływem chorobliwym, wystarcza rozmaitość kształtów i wyglądu parostków, aby zająć uwagę już nietylko myśliwego, ale i badacza. W szybko powstającym wytworze, odczuwającym już przez to samo najsubtelniejsze wpływy wszelkiej kategoryi, wypisuje natura zagadkowe pytania w kształtach, które bez przyczyny powstać nie mogły — i które drażnią ciekawość badacza. Miła też pamiątka łowiecka powstaje dla wielu taką na zawsze — dla innych, po latach wielu, gdy doświadczenie w zawodzie dozwoliło zaglądnąć w tajniki przyrody, klejnot ów nie traci na wartości, lecz owszem jeszcze więcej jej nabywa. Im wstydliwiej natura kryje przed okiem człowieka w wielkiej części przyczyny przedziwnej rozmaitości form, im mniej odkryło tu bezpośrednie spostrzeżenie, i większość naszych wyobrażeń o powstaniu pewnych zboczeń w budowie parostków tylko na domysłach polega — tem bardziej docieka przyczyn badawczy umysł i tem większą wartość nadaje każdemu parostkowi nienormalnemu, bo ma do czynienia z hieroglifami natury, pociągającemi ku sobie swą zagadkowością.

Jeszcze w 1891, w pracy mej „Parostki kozłów“ (*Łowiec*) zwróciłem uwagę na pewne typy w ukształtowaniu parostków, przywiązane ściśle do pewnej okolicy, niemniej wypowiedziałem na str. 147 zdanie, że w pewnych okolicach znajdują się rogacze, które obok bardzo silnie rozwiniętego ciała, wielkiej wagi i łojności, noszą parostki nadzwyczaj wątłe i skarłowaciałe — zacofane w swych kształtach w porównaniu do wieku zwierzęcia.

Kilka lat myśliwskich doświadczeń dozwalają mi zdanie to poprzeć żywemi przykładami, i wyświecić bliżej charakter parostków rogaczy, mianowanych w czambuł z innemi

„myłkusami“. Ściśle rzecz biorąc, rogacze, o których tu mówić zamierzam, wcale na tę nazwę nie zasługują, gdyż nazwą „mylkus“ oznaczamy tylko niezwykłe formy parostkowe powstałe na tle jakichś patologicznych zmian w organiźmie, i formy nie ulegające prawidłowym zmianom corocznym. Tymczasem u rogaczy, o których mowa, żadnych zmian chorobliwych dopatrzeć nie było można, a mniej lub więcej wyraźna linia demarkacyjna, jako zapowiedź nastąpić mającego zrzucenia parostek, odbierała im w zupełności cechę właściwych myłkusów.

W drugiej połowie grudnia 1894 ubito w lasach państwa Komarniańskiego, a mianowicie w rewirach Jasionów, Koszarki i Kołodruby 22 sztuk rogaczy, pomiędzy któremi 7 nosiło jeszcze parostki, jeden posiadał tykę, dwa kłuło $2^1/_2''$ długie parostki mleczne (gomuły), a pozostałe 12 sztuk przedstawiały po zupełnie świeżem zrzuceniu jeszcze krwawiące blizny na guzach. Ogół tej zwierzyny nie przedstawiał wielkich różnic w kondycyi — były to okazy w szkielecie i w mięśniach normalnie rozwinięte i w stanie dobrej łojności.

Parostki wspomnianych siedmiu rogaczy były to same karły pod względem grubości i wysokości, największe bowiem nie dorastały 4 cm. długości, a osadzone były na guzach bardzo wątłych, bo nieprzekraczających 1·2 cm. średnicy. U siedmiu tych sztuk dostrzegać się dawała bez wyjątku mniej lub więcej odznaczająca się linia domarkacyjna. Przy takiem skarłowaceniu i skróceniu, normalne kształty parostka nawet w zasadzie odkryć się nie dały, pomimo, że jak to uzębienie zwierząt wskazywało, były tam niektóre egzemplarze, wyszłe wiekiem daleko poza epokę ukończenia stopni rozwojowych parostków.

Jeden rogacz o tyce pojedynczej, pomimo niezwykłych rozmiarów ciała, nie mógłby się również chlubić swą ozdobą, był nią bowiem tylko szczupły 12 cm. wysoki, barwy biało siwej parostek o dwu gałązkach, pomimo, że rogacz ten conajmniej 6-sty rok życia liczył.

Siedliska rewirów, z których zwierzyna ta pochodzi, do jednego należą typu — są to równiny napływowe, których powierzchnię tworzy glinka piasczysta, przerywana mokradłami torfowemi i warstwami rudy limonitowej, a wszystko to spoczywa na warstwach grubych siwego iłu, który leżąc zazwyczaj w głębokości 30—50 cm. pod powierzchnią, miejscami na wierzch się wydobywa. Cechuje te siedliska brak wszelkich pokładów wapiennych, a wody zaskórne wydobywają się tuż przy powierzchni na pokładach iłu. W lasach niema odsłoniętych łąk i halizn, na zrębach buja przeważnie mietlica, osoka lub sitnik, a w ciemni lasów pokrywa wielkie powierzchnie ostra turzyca. W najbliższej okolicy lasów rozlegają się wprawdzie olbrzymie powierzchnie łąk i pastwisk naddniestrzańskich, wyrasta tam wprawdzie obfita, ale od dłuższego lat szeregu powtarzającemi się wylewami bądź niszczona, bądź do stanu nieużytecznego sprowadzona roślinność, w każdym jednak razie uboga w części popielne, w skutek zbytniej wilgoci i przeszkód w wykształceniu nasion.

Dostateczny stan łojności ubitych rogaczy świadczy aż nadto, że nawet w tak niekorzystnych stosunkach przyrodniczych ród sarni potrafi do pewnej chwili wywalczyć byt znośny, uderzający jednak w oko nienormalny stan parostków, i spóźnienie prawidłowych przemian tychże, przemawia za tem, że stosunki wyżywienia, odpowiadając jako tako wymogom organizmu, nie wystarczają przecież do podtrzymania normalnego życia parostków, a skutkiem tego następują zboczenia, które się objawiają:

a) spóźnieniem zrzucenia, jak to na wspomnianych 12 sztukach dostrzedz było można, gdyż w klimacie naszym, w stosunkach normalnych starsze rogacze już w połowie listopada, a młodsze na początku grudnia zrzucają;

b) przetrzymaniem wątłej budowy parostków częstokroć aż do pory wiosennej, w skutek czego w porze rui pojedyncze rogacze z mlecznemi chodzą parostkami, jak tego naoczne miałem dowody.

Pewien procent rogaczy, odznaczających się zupełnie normalnym stanem parostków, (w wypadku niniejszym 2 na 22), odnieść należy albo do wyjątków, spowodowanych niezbadaną indywidualnością, albo są to zwierzęta pochodzące z innych siedlisk i stosunków. Ostatnie to przypuszczenie dozwolone jest w obec zdarzającej się często w rodzie sarnim emigracyi czasowej pojedynczych osobników, zwłaszcza rogaczy. Sądzę przytem, że mieszanie się zwierząt pochodzących z rozmaitych siedzib, jest przyczyną zacierania się do pewnego stopnia typowych form parostkowych pewnej okolicy. Odpada tu zarazem w wielkiej części i silne prawo dziedziczenia, a typowość miejscowa nie umie się nazbyt wyraźnie objawić.

Nie przeszkadza to jednak istnieniu typów miejscowych. W pozornym chaosie, jaki wytwarza dla zmysłów naszych natura, istnieją zawsze prawidłowe ścieżki, i silnie ugruntowane są na odwiecznej prawdzie spotykane objawy; niema tam dowolności, niema przypadków, żelazna tylko konieczność, częstokroć niedostrzegalną popychana sprężyną, buduje wszystko w sposób prawidłowy.

Przyznanie wielkiej doniosłości wpływom miejscowych stosunków rzuca tylko lepsze światło na ten utwór proteuszowego charakteru, jakim są parostki, gdyż one powstają z bezprzykładną szybkością i absorbując w bardzo krótkim czasie wielką ilość specyalnych składników organizmu, wszelkie braki w tym kierunku najsubtelniej odczuwać muszą. Potrzeba tu doraźnie wielkich ilości fosforanu wapna i wogóle tych składników, które kość wytwarzają, a jeżeli brak tychże w karmie i w wodzie, nastąpić musi nieodzownie słabe zasilanie nowotwórczego procesu fizyologicznego i degeneracya, jednem słowem powstawać tu musi typ miejscowy, charakteryzujący się w wytworze, gdzie zaszłe braki najsubtelniej są uwidocznione.

To wszystko wycieńcza siły zwierzęcia, tem bardziej, że w całym tym procesie wyczerpuje organizm w krótkim czasie nie tylko znaczne zapasy składników, ale wytwarza także całkiem nowe drogi do ich przewodzenia. Po listopadowej łojności następuje też ubytek zasobności ciała, a równocześnie rozpoczyna się energiczny proces odtwórczy parostków. Wprawdzie uszczuplenie pokarmów w miarę postępującej pory zimowej przyczynia się głównie do stopienia zapasów ciała, jednak jest całkiem logiczną myśl, że do pochłonięcia tych zapasów przyczynia się i raptowny proces fizyologiczny, tem bardziej, gdy doświadczenie nieraz mi wykazało daleko lepszą stosunkowo łojność rogacza, który jeszcze nosił parostki, w porównaniu do noszącego w tym samym czasie pokaźne gomuły (parostki mleczne). Dobrze o tem wiedzieć pominąwszy już względy nauki.

W okolicach, gdzie nie ma pokładów wapiennych, jakoteż wód zasobnych w sole wapienne, gdzie zresztą nie używa się na karmę przeważnie ziarna zbóż, jako najzasobniejszych w połączenia kościotwórne, przychodzi się w hodowli ras rozwijających się szybko do bardzo smutnych wyników. Naj-

słabsze ogniwo łańcucha warunkuje jego siłę — tak i tu: najracyonalniejsze żywienie nic nie zdziała, jeżeli jedno ogniwo, ktrem są właśnie materyały kościotwórcze, jest za słabe. To co wystarcza rasie miejscowej w jej powolnym, zgodnym ze stosunkami przyrodniczemi rozwoju, to jest niedostatecznem przy szybkim wzroście; wielka ilość karmy nic tu nie pomoże, bo karma ta, będąc ubogą w składniki kościotwórcze, wytwarza tylko stan chorobliwy — zwierzę się wprawdzie tuczy, ale kość nie twardnieje, następują po największej części skrzywienia odnóg wskutek rozmiękczenia kości, wreszcie ze słabego materyału utworzone odnóża nie są w stanie unieść ciężaru ciała, i zwierzę po największej części leży i tylko z biedą czołga się nieudolnie.

Do takich smutnych doświadczeń przyszedłem w tej okolicy z hodowlą świń szybko rosnącej rasy Yorkshire, podczas gdy wcale niewybrednie karmione a bardzo wolno rosnące świnie swojskie żadnych oznak chorobliwości nie okazywały. Regularne zadawanie w karmie mączki kościanej, a raczej fosforanu wapna, naprawiło wnet zdrowotny stan mojej chlewni, i dziś mają zdrowe i twarde kości, a wesołe pląsy i skoki po podwórzu udowadniają to aż nadto. Nie zatrą one wszakże wrażenia, jakie odniosłem, gdy chcąc się pocieszyć wśród smutnego stanu rzeczy, kazałem uśmiercić jedną z najtłustszych sztuk, która, nie mogąc już wcale wstawać, z musu na sposób starych Rzymian się odżywiała. Bardzo zgrubiałe a gąbczaste kości odnóży dawały się nożem krajać, niby miękkie chrząstki, a widok ten chorobliwy odbierał apetyt do wreszcie zdrowego, tłustego i pięknie wyglądającego mięsa.

Przytaczam tu te doświadczenia z praktyki hodowlanej, bo przedstawiają one pewną analogię ze stanem w wolnej naturze. Gdzie chodzi o wytworzenie szkieletu w długim przeciągu czasu, tam podobnie jak u wolno rozwijających się ras domowych zwierząt, wystarczą i zwierzynie ubogie w fosforany wapna pokarmy; raptowny jednak proces powstawania parostków, dający się porównać z prędkim rozwojem ciała ras importowanych, wymaga doraźnie w karmie wielkich zasobów składników kościotwórczych. Powiększanie racyj pożywienia przyspiesza w takim wypadku jedynie powstanie stanu nienormalnego, bo miękkie tkanki ciała przyrastają stosunkowo prędzej niż kości — powstaje więc u zwierząt swojskich tem rychlej albo stan rachityczny całego szkieletu, albo nienormalny stan parostków skąpo odżywianych, jednem słowem zacofanie się kształtów w porównaniu do wieku zwierzęcia, a wreszcie opóźnienia w zmianach dorocznych.

Pomimo, że chemiczne zmiany i w ogóle cały proces odżywiania się kości niemniej wpływ karmy na skład tychże bardzo ciemną jeszcze stanowią kartę, i zdania fizyologów tak dalece się różnią, iż wprost przeciwne sobie można tam znaleść twierdzenia — przytaczam tu wnioski niektórych fizyologów, oparte na szeregach prób i doświadczeń.

Przy braku zupełnym w karmie któregokolwiek ze składników mineralnych, służących do wytwarzania kości, zwierzę ginie w tym samym czasie i w obec podobnych objawów, jak w skutek zupełnego odjęcia pokarmów, a substancya kostna umniejsza się ilościowo podobnie, jakgdyby zwierzę żadnych pokarmów nie pobierało. *(Weiske Zeitschr. für Biologie. VII. 179 i 133 VIII. 541)*.

Przy niedostatecznej zawartości wapna w pokarmie, takiej wszakże, iż wystarcza zupełnie na podtrzymanie głównie z proteinów składającej się części organizmu, ubożeją w sole wapienne wszystkie części składowe ciała, przyczem jednak nie ubywa substancyi organicznej ciała. *(J. Forster Zeitschr. für Biologie IX. 369)*. W stosunkach takich spotyka się właśnie typy, o których w pracy mej o parostkach kozłów jeszcze w r. 1891 wspomniałem. Mógłbym zresztą naprowadzić tu inne siedliska, w których niemal wyłącznie istnieją rogacze z dobrze wykończonemi i silnie zbudowanemi parostkami, które z największą regularnością zmianom dorocznym podlegają. Są to typy dodatniego charakteru, a że zależą głównie od pożywienia, a w szczególności od zawartości większej połączeń wapiennych w ziemi i wodzie, o tem sądzę nikt wątpić nie będzie. Napolowałem się ongi dosyć w kniejach o pokładach wapiennych i źródłach dobywających się z pokładów wapiennej opoki lub kamienia, a zajmując się zawsze naturą parostków, przypominam sobie dobrze, do jakich rzadkości należą tam rogacze typów opisanych, których wcale do t. z. myłkusów zaliczać nie należy. Niemal równocześnie, bo coś dwa dni przed ubiciem opisanych rogaczy w rewirach Komarniańskich, padło na polowaniu w lasach Rozdolskich 8 sztuk rogaczy. Wszystkie nie miały już parostków, a starsze blizny na guzach nabrzmiewały już pod tworzącym się scypułem. Otóż pagórkowate siedliska lasów Rozdolskich spoczywają na pokładach wapiennych, i wszędzie wydostają się źródlane wody z pokładów kamienia wapiennego. Trudno ponoś o lepsze poparcie znaczenia wapiennych połączeń i karmy z suchych pagórków dla budowy parostków.

W innych znów pasmach kraju, w których ani źródlane wody nie odznaczają się obfitością połączeń kościotwórczych, ani pokłady wapienne nie dobywają się na powierzchnię ziemi, wspomniane wyjątki skarłowacenia w budowie i w życiu parostków należą do rzadkości. W siedliskach mianowicie, gdzie szeroko rozległy się grube pokłady gliny i iłu, znajdują się częstokroć najsubtelniej wykończone, operlone formy parostkowe i trudno tam dostrzedz tak wielkich różnic w sposobie czasowych przemian, jak to ma miejsce na wspomnianych dołach. Są to nasze podgórza solonośne starszej formacyi mioceńskiej, ciągnące się wąskim a długim pasmem we wschodniej części kraju w linii równoległej do gór karpackich tuż u podnóża tychże. Pasmo to zbiega klinowato na swych przeciwległych kończynach w Przemyskiem i Kołomyjskiem, a rozszerza się w pośrodku w Stanisławowskiem. Otóż tam obecność soli w wodach i pożywienie wyrosłe w takich stosunkach, wynagradza pośrednio braki, zwiększa energię ustrojową i staje się bodźcem lepszego wyzyskania skąpo w otaczającej naturze reprezentowanych połączeń mineralnych. Są to siedliska najbardziej wykończonych i bogatych form parostkowych, o czem, jeżeli już nic innego, pouczyła nas ostatnia nasza wystawa.

Jeżeli do pośrednich bodźców wytwórczości organicznej, jakie charakteryzują pewne pasma kraju, przyłączą się i bezpośrednie najkorzystniejsze stosunki siedliska, to nic dziwnego, że ród tak tkliwy na wszelkie wpływy wytwarza typy miejscowe, i odbiera niejedną chwilę spokojnego snu badaczom specyalnym. Jakoż wypływa tu znów na widownię niedawno jeszcze do epok przedhistorycznych odnoszony gatunek sarn t. z. „Urbock“, *Capreolus pygargus*, identyfikowany często z żyjącym jeszcze podziśdzień w Syberyi *Capreolus mandschuriensis*, a pytanie, czyli owe kozły o nadzwyczaj szeroko rozstawionych parostkach nie są jakiemi pokrzyżowanymi potomkami owego „Urbocka“, który miał (jeszcze niedawno) zamieszkiwać kraje europejskie, staje się treścią uczonych rozpraw w prasie peryodycznej. Ale zostawiem tę łamigłówkę anatomom, bio-geo-fizyolo-paleonto-i zoo-logom, do której rozwiązania nieco więcej niż doświadczenia i spo-

strzeżeń myśliwskich potrzeba, a dodam tylko z całą prostotą myśliwskiego serca, że cała ta teorya o „Urbocku“ wcale mnie nie zachwyca ani zaspokaja, i że szukając przyczyn w ciemnych krużgankach przypuszczalnej przeszłości, może mało zwracamy uwagę na wpływy wielkiej i pewnej doniosłości, jakiemi są stosunki danego siedliska. Ani rozmiary, ani kształt, ani osada parostków t. z. „Urbocka“, które po kolekcyach rozmaitych spotkać można, nie są dostateczną charakterystyką, a że spotykamy je w wielkiem poszanowaniu i w starannej oprawie po starożytnych zamczyskach, to i to jeszcze nie dowodzi tak bardzo istnienia tego gatunku w czasach historycznych. Wszak każdy parostek lub wieniec jeleni, nadzwyczaj wielkich rozmiarów, był w owych czasach, gdy jedynie na to zwracano uwagę, przechowywany jako cenna pamiątka; mniej pokaźne ale niemniej ciekawe trofea nie doznawały tych zaszczytów.

Jako dowód istnienia t. z. „Urboka“ w Europie jeszcze w XVI stuleciu przytaczają zwolennicy tej teoryi obraz Lukasza Kranacha z r. 1509, przedstawiający biust św. Chryzostoma z portretem „Urboka“, i pytają: skądżeby wziął model artysta, gdyby zwierz taki podówczas w Europie nie istniał? Oto jest pytanie, rzucone przeciwnikom teoryi Urbokowej.

Kranach, który według spółczesnego listu Scheurla, malował w książęcym pałacu w Koburgu wieńce jelenie, na których ptaki chciały siadać, jelenia, którego psy miały naszczekiwać, dzika, na którego widok pies się jeżył a potem ogon spuściwszy ze strachem uciekał — ten Kranach, który w Torgau malował na ścianie wiszące zające, bażanty, kuropatwy, kaczki, przepiórki i kwiczoły, których widok tak dalece złudził hrabię ze Szwarzburga, że wszystko to powynosić kazał z obawy, aby rozkładem swym powietrza nie zanieczyściło — otóż ów mistrz, tak okropnym panegirykiem uświęcony, mógł również złudzić swym kozłem ówczesnego przyrodnika, pomimo, że jego rzekomy „Urbok“ mógł być całkiem zwykłym, przesadzonym nieco w kształtach kozłem a nawet i jeleniem, bo ówczesna sztuka, jak tego tysiączne mamy dowody, niezbyt skrupulatnie liczyła się z prawdą zoologiczną. W każdym razie słabą zaiste musi być teorya, powołująca tego rodzaju dowody na swe poparcie.

Zatrzymałem się nieco przy teoryi Urbokowej, bo dotyka ona bezpośrednio i naszego kraju. We wschodniej części kraju naszego miały się oprócz Tyrolu zachować typy *Capreolus pygargus*, do nich miały należeć także parostki, wystawione z rewirów Rudnickich hr. Hompescha w roku 1890 we Wiedniu, a mianowicie 6 par, ze zbiorów zaś Włodz. hr. Dzieduszyckiego zaliczono na tej wystawie jedną parę do typu wspomnianego.

Przypisując choćby daleko sięgające znaczenie stosunkom siedliskowym w wytwarzaniu się form parostkowych, przychodzimy wreszcie do pewnej granicy, na której myśl mimowolnie sięga po innego rodzaju powody tej przedziwnej rozmaitości w budowie typowych kształtów. Mimowolnie rodzi się w myśli przypuszczenie, że na powstanie obecnie żyjącego rodu sarn składało się w mglistej przeszłości kilka odmian charakterystycznych, i że miejscowa rozmaitość w budowie czaszki, guzów czelnych, rozstawienia parostków, struktury róż, tam, gdzie o przyczynach powstania takich typów stosunki siedliska niczego nam powiedzieć nie mogą, polega na jakiemś prawie atawistycznem. Że istniał niegdyś w Europie gatunek sarn nieco odmienny od obecnie żyjących, to nie podlega wątpliwości; 200 par parostków w zbiorach hr. Erbacha nie udowadniają wprawdzie genezy tego rodu, ale czynią to kopalne parostki, jakie po zbiorach rozmaitych w Europie spotykamy. Czy istniały jeszcze jakie odmiany niegdyś na ziemiach europejskich, czy żyjący obecnie *Capreolus mandschuriensis* pomykał niegdyś i w naszych kniejach — czy istniały jeszcze oprócz tego, jakie specyalne odmiany w których szukać mamy przodków naszego rodu sarniego? O tem wszystkiem nic pewnego nie może wypowiedzieć jeszcze nauka, lecz od czasu do czasu migocą tam już błyski wiedzy — coraz bardziej zbliżamy się do pożądanej chwili, w której łopata i żmudna praca badacza zdejmią ostatnią zasłonę, kryjącą pochodzenie powabnego rodu naszych tanecznic leśnych.

Nietylko zatem brak lub dostatek połączeń wapiennych wytwarza typowe kształty parostków. Są jeszcze inne czynniki mało lub wcale dotąd niezbadane, a składające się na formy charakterystyczne, które przechodzą w zupełnie prawidłowym kierunku wszelkie zmiany doroczne, i kształtem swym i budową nadają zwierzętom pewnych okolic rasową typowość.

I tak, znajdujemy w pewnych okolicach rogacze o wyniosłych parostkach: długość ich wynosi 25 cm. i więcej, operlenie nieznaczne, róże słabo odznaczone; w innych znów stronach przeważają typy przysiadłe, w równych stosunkach o wiele grubsze w średnicy, bogato operlone a krótkie, bo w kulminacyjnym punkcie rozwoju długości 12 cm. nie przekraczają.

Ilość materyału, składająca się na te dwa typy odrębne, jest niemal ta sama, a udowadnia to równa waga parostków krótkich i długich. Widocznie więc, że w powstaniu dwóch tych form charakterystycznych nie gra roli stosunek połączeń kościotwórczych, ale wchodzą tu w grę jakieś inne dotąd niezbadane czynniki, wytwarzające tę przedziwną zagadkę. Z każdego parostka przemawia do nas zdanie wielkiego Buffona: „Żadne indywiduum nie jest podobne do drugiego“, każda zdobycz na tem polu podaje nam nowe rzeczy.

Po strzale na podchodnem — który powinie u nas, mówiąc nawiasem, znaleść nieco więcej zastosowania jak to ma miejsce dotychczas — gdy jeszcze siny dym zakrywa wszystko, pierwsza myśl podsuwa pytanie: a jakie tam parostki? Pieczyste, to mniejsza — lepsze czy gorsze — minie się i słych po nim zaginie, tylko ta kostka pozostaje trwale, przypomina powabną przeszłość i wplata różowe pasemka wspomnień w szarą kosę życia. Często rozczarowaną zostanie ciekawość — ot, leży koźlisko, całkiem zwykłe, jakby z opisu podręcznika szkolnego wzięte — sterczą na głowie parostki, ale po bliższem przypatrzeniu znajdzie się i tam coś oryginalnego, coś, czego tam wedle przepisu być nie powinno, a co miało w powstaniu jakąś swą przyczynę. Czasem — a zdarza się to bardzo rzadko — sprowadza dobra bogini, w nagrodę przebytych tortur, istny klejnot myśliwski przed lufę... Że zdobycz taką na wagę złota ceni myśliwy, to całkiem rzecz naturalna, bo to rzadki sfinx, który długo jeszcze urągać będzie ludzkiej mądrości. A powtarzam, iż nie mam tu na myśli t. z. mylkusów, których powstanie mniej więcej w sposób zaspokajający da się z ogólnego stanu patologicznego zwierzęcia wytłumaczyć, ale myślę o niezwykłych parostkach, które odbywają z największą systematycznością cykl zmian dorocznych, i nie powstają na chorobliwym gruncie organizmu.

Czyżby tak niedostatecznym był nasz sąd o zdrowiu zwierzęcia, czyżby kryły się przed naszym wzrokiem przyczyny materyalnych wyjątkowych zmian? Czyż podobnie jak w świecie roślinnym grają tu pewną rolę czynniki, zmie-

niające ciągłą a niepozorną pracą wygląd zewnętrzy, lub wytwarzające kształty dziwaczne, jak np. kręty wzrost u sosny powodowany grzybnią *(Caeoma pinitorquum)*, gruzły żywiczne na gałęziach *(Aecidium pini)* miotły czarownic u jodły *(Peridermium elatinum)*, spłaszczenie łodyg monstrualne itp.? Może istnieje jaka analogia przyczyn w świecie organicznym — wszak podobne zmiany morfologiczne spotykamy na parostkach.

Zaledwo dotknąłem chaosu ciekawych objawów, a już mi się cofnąć wypada, bo piętrzą się tam całe gmachy hieroglifów i strach zbiera zapuszczać się myśliwemu w tę matnię pytań, jakie natura człowiekowie zadaje.

NA ŁOSIE.

(Na Polesiu — w styczniu 1895).

Wesoło zadzwoniły dzwonki i janczary; konie raźno ruszyły z miejsca wyrzucając kopytami śnieg. Twarze owionęło nam mroźne, czyste powietrze, tem rozkoszniejsze, że tylko co wysiedliśmy z dusznego, przepalonego wagonu, pełnego dymu tytoniowego, w którym bez przerwy spędziliśmy szesnaście godzin.

Pociąg, który nas przywiózł, ruszał także ze stacyi ciężko sapiąc i rzucając kominem kłęby gęstego, czarnego dymu. Żegnaliśmy go bez żalu, ba nawet z radością, zamieniwszy wagon na lekkie jak piórko sanki, zaprzężone parą rosłych koni, czarnych jak kruki, barwnie ubranych w zimową błyszczącą i hałaśliwą uprząż.

Szarzało już, kiedy zostawiliśmy za sobą stacyę, małą, zagrzebaną wśród lasów poleską stacyę, na której herbaty nawet nie można było dostać. Pierwsze chwile jechaliśmy w milczeniu upojeni szybkością, muzyką dzwonków na różne grających tony i mroźnem powietrzem, w którem czuć było już puszczę. Jak okiem rzucić, wszystko było pod śniegiem, tylko na horyzoncie czerniały linje lasów.

Mróz się wzmógł pod wieczór, śnieg skrzypiał pod płozami sanek, a na niebie migać poczynały pierwsze gwiazdy. Szerść koni z karej zrobiła się szarą, pyski im oszroniały, a z nozdrzy buchały białe smugi pary. Lecieliśmy jak na skrzydłach, aż w głowie kręciło się od tych białości, migających bez końca w oczach. Las zbliżał się rosnąc w oczach z szybkością, aż wpadliśmy na drogę, przy której po obu stronach zaciemniały dwie ściany lasu, zasypanego śniegiem, pełnego tajemnic i głębi.

Ciemniało coraz więcej, nareszcie zapadła noc jasna, gwiaździsta i mroźna, jedna z tych nocy, dla których kocha się północ i zimę. Nie przemówiliśmy ani słowa, a jednak rozumieliśmy się z moim towarzyszem p. K. doskonale.

Obadwaj myśliwi namiętni, spieszyliśmy do jednego celu, zaproszeni przez wspólnego znajomego na obławę na łosie, która zapowiedzianą była na następny dzień. W tej chwili do szczęścia nie brakło nam nic i obadwaj niebo mieliśmy w sercach. Nie dusiliśmy się już w wagonie, oddychaliśmy przepysznem powietrzem, konie brzęcząc janczarami mknęły aż wiatr świstał w uszach, pogoda była wyborną i nie miała się ku odmianie, a las poprostu nas czarował, taki był głęboki i obiecujący.

Mieliśmy takiej drogi trzydzieści wiorst przed sobą, ale nasze sanki poprostu pochłaniały przestrzeń, rwaną dzielnym kłusem naszych koni. Las, to wysoki, to niższy a gęstszy, przechodził chwilami w bagno porosłe krzakami, lecz ciągnął się bez przerwy, ciesząc nas swą rozległością. Wiedzieliśmy zresztą, że jesteśmy już na terytoryum naszego gospodarza, który zapowiedział, że od stacyi jechać będziemy jego lasem.

Parę razy na polanach wyciętych wśród lasu mignęły nam małe folwarki i pojedyńcze chaty z błyszczącem w okienku światełkiem, parę razy pies zaszczekał na zaścianku. Nasze konie prychnęły czując stajnię, i znów zanurzaliśmy się w czarny las, ciągnący się po obu stronach drogi. Wreszcie po trzech może godzinach jazdy zajaśniało przed nami szerokie pole, równina zasłana iskrzącym od gwiazd śniegiem taka biała i jednostajna, że myśli mąciła. Konie jakby korzystając z otwartej przed niemi przestrzeni pomknęły jeszcze hyżej i za chwilę byliśmy wśród opłotków folwarku. Sanki skręciły w bramę, podskoczyły parę razy na zaspach śniegu, minęliśmy parę czarnych budynków i zatoczywszy koło, stanęliśmy przed gankiem dworu, z którego wszystkiemi oknami biło światło. Usłyszano nas widać, bo drzwi otwarły się szeroko rzucając strumień światła na konie, z których podnosiły się kłęby pary, na sanki i na nas. Nie zdążyliśmy jeszcze wydobyć się z owijających nas koców i futer, kiedy we drzwiach ukazał się gospodarz i powitał nas wesoło.

Zaraz na wstępie w sieniach oznajmił nam radosną nowinę, że leśnicy mają obtropionych 14 łosi, między którymi są cztery stare, rogate byki. Zabiło mi serce na te słowa, ale nie było czasu na radość, bo gościnny gospodarz prowadził nas do pokoju, gdzie jak mówił poznać mieliśmy większą część towarzyszów jutrzejszego polowania

W pokoju, do którego weszliśmy, gwarno było i wesoło. Porozstawiane zielone stoliki i kieliszki świadczyły, że nie próżnowano tam przed naszem przybyciem. Rozpoczęła się prezentacya, z której narazie nie spamiętałem ani jednego nazwiska. Uderzyła mnie tylko końcówka „łło“ przy każdem niemal powtarzająca się nazwiska. Kiwaliśmy się i kłaniali na wszystkie strony ściskając ręce poznanych panów i ruszyliśmy wreszcie na kolacyę, z którą czekano naszego przyjazdu.

Wieczór zeszedł wesoło, jak zwykle przed polowaniem, pełny opowiadań, nadziei i wspomnień. Poprzedniego roku zabito u naszego gospodarza pięć łosi, było się więc czego spodziewać. Pilno mi było do poduszki, bo wyobrażałem sobie, że czas dzielący mnie od uroczystego dnia prędzej minie we śnie Spałem zresztą źle, bo śniły mi się niestworzone łowy, popsuty sztuciec i t. d.

* *
*

Ledwie szarzeć poczęło, byliśmy na nogach. Cały dom pełen był ruchu, krzątaniny i biegania. W jadalnej sali przy lampach zebrało się u śniadania całe towarzystwo, już w my-

śliwskim rynsztunku. Długie buty, kożuchy i lisiury, ładownice przez plecy i dużo humoru.

Dzień zapowiadał się piękny, mroźny i słoneczny; na drzewach bieliła się z nocy „szadź“ (okiść).

Przed dworem na dziedzińcu widać było szereg jednokonnych saneczek dla myśliwych; na wielkich saniach wyruszyła właśnie psiarnia pod eskortą psiarczyka i konnego dojeżdżacza, harapem hamującego zbyteczny ogień posforowanych psów, których tuzin tłoczył się na saniach gryząc się i skomląc z niecierpliwości. Boskie chwile nadziei i oczekiwania..

Pod ciemną ścianą lasu mknie już szereg sanek zaprzężonych w chłopskie, małe koniki o zjeżonej szerści jak u psów. Przepyszny jodłowy las, gęsty i podszyty, drzemie zasypany śniegiem, wiszącym całemi zaspami na rozpostartych płasko gałęziach. Z każdych sanek sterczą lufy dubeltówki albo sztućca a z pod czapki śmieje się para rozradowanych oczów. Sanki mkną cicho po puszystym śniegu zasypującym tylko co wytorowaną kolej; czasem parsknie koń albo płat śniegu obsunie się z gałęzi.

Co kilkadziesiąt kroków szereg zatrzymuje się, ze sanek zeskakuje myśliwy, spieszy na wskazane przez prowadzącego stanowisko i szereg rusza dalej, zostawiając myśliwego własnemu losowi i szczęściu. Na jedenastem z kolei stanowisku wypadł mój numer. Wyskoczyłem ze sanek i brnąc po śniegu stanąłem pod grubą jodłą.

Z bijącem sercem otworzyłem sztucer i wsunąłem ładunki pytając się w duszy: czy ich też użyję? Starannie zamknąłem zamek, odwiodłem kurki i rozglądać począłem się po zesłanem mi przez los stanowisku. Las wydał mi się więcej obiecującym i tajemniczym niż kiedykolwiek; moje stanowisko ze wszech miar było wybornem. Stałem pod grubą jodłą, zwieszającą gałęzie jak parasol, przedemną wyrastał gęsty krzak zasłaniający mnie po piersi z przodu, a las przedemną, czyto wskutek pożaru, czy wskutek wichrów, mniej był zarosły i zwarty niż dalsza knieja. Stałem więc jakby na brzegu polanki, na której rosło kilka tylko potężnych jodeł, podszytych u stóp krzakami i młodszem pokoleniem jodełek.

Wszystko białe, nieskalane, pokryte śniegiem, jak welonem. O pięćdziesiąt kroków i po bokach ciągnął się zwarty las, ciemną ramą otaczając polanę i moje stanowisko. Z lubością spojrzałem na mój ekspres, raz jeszcze otworzyłem go, patrząc czy są ładunki, czy kurki otwarte i westchnąłem do świętego Huberta, polecając mu swe zapały. Cicho było do koła jak pod całunem; najlżejszy wiatr nie poruszał wierzchołków drzew, tylko od czasu do czasu płat śniegu miękko zsuwał się z gałęzi i rozbity na płatki pruszył na ziemię.

Stałem tak może dziesięć minut wsłuchując się w bicie własnego serca i w tę ciszę pełną nadziei i oczekiwania. Całą mą istotą zlany z lasem — czekałem.

Nareszcie, gdzieś daleko, jakby z pod ziemi ledwie dosłyszalny doleciał mnie głos psa. Serce zabiło mi żywiej i machinalnie ścisnąłem broń. Głos odezwał się raz, drugi — potem słyszałem dwa psy naszczekujące razem — potem było ich trzy, cztery, aż wreszcie odróżnić nie mogłem już pojedyńczych głosów, tylko z głębi kniei, drzemiącej przedemną ciemnemi głębiami, dochodził mnie jakby stłumiony jęk, falujący w akordach to wyższą to niższą nutą... Zdawało mi się, że słyszę i głos trąbki, ale w uszach tak mi tętniło, że nie byłem pewnym.

Pierwsze wrażenie minęło. Z głębi lasu dochodziło mnie coraz wyraźniej granie psów, zalewających swą muzyką całą puszczę; trąbka grała coraz mocniej. Chwilami wydawało mi się, że ze wszystkich stron grają ogary, że słyszę je i z tyłu i z boków, że z każdej igły pokrytej śniegiem płynie ten głos, od którego mrówki czułem na skórze.

Już nie słyszałem, jak przed chwilą, bicia własnego serca, choć wzruszony byłem piekielnie, tylko w głowie szumiało mi jak w kotle i jak błyskawice przelatywały myśli: Czy będą łosie, czy na mnie pójdą i czy będzie byk, do którego wolno strzelić?

Gon psów stawał się coraz to czystszy i jaśniejszy. Jeden głos wysoki i piskliwy zawodził w tym tłumie wyraźnie i mogłem go od innych doskonale odróżnić. Daleko za psami słychać było głos obławy, stłumiony odległością i śniegiem, jak tło do wrzaskliwej muzyki gończych. Trąbka grała uporczywie to samo hasło. Był to widocznie sygnał jakiś dla myśliwych, czy dla psów, którego nie rozumiałem niestety.

Odgłosy te razem wzięte stanowiły koncert, od którego włosy stawały na głowie, każdy nerw wyciągnął się jak struna, a serce zamierało w piersi...

Zwierz musiał iść ostro, goniony na oko, bo gon zbliżał się jak burza, zostawiając het za sobą głuchy odgłos idącej obławy i trąbkę dojeżdżacza. Cały bór grzmiał przed nami, tylko na linii strzelców panowała głucha, zdradliwa cisza. Z gałązek jodły obsuwał się bez szelestu puszysty śnieg, miękko spływając na ziemię.

Gon szedł wyraźnie ku nam i był już nie dalej jak pięćset może kroków... Jeszcze chwila i wszystko się rozstrzygnie... Ale kto będzie szczęśliwym, komu uśmiechnie się wdzięcznie Djana?!

Gon coraz bliżej, bliżej, tylko co nie widać psów. Z rozpaczą widzę, że nie na mnie wyjdą. Gonią ku drugiemu albo trzeciemu stanowisku na lewo. Słyszę doskonale jak psy grają zajadle goniąc na oko, jak zalewają się żałośnie, ale nie ja będę strzelał...

Psy już są prawie na linii, zupełnie w lewo odemnie, i naraz wśród ich wrzasku rozlega się strzał — potem cisza — potem drugi strzał, trzeci — i znów rozlega się głos psów jeszcze gorętszy, jeszcze zajadlejszy jak poprzednio, ale już za linią strzelców, na tyłach.

Skończyło się, zwierz poszedł, a jaki rezultat, dowiem się dopiero po skończonym miocie, gdy dojdzie obława. Odetchnąłem głęboko, — dla mnie skończyło się czekanie i nadzieje...

Naraz w gęstym lesie, między pniami, na białym śniegu zaczerniało przedemną coś wielkiego. O jakie sto kroków mignęło coś raz i drugi. Szedł na mnie zwierz od przodu z lewej strony, powoli przekradając się i jakby nasłuchując psów, których głosy ginęły w oddali...

Zatrzymałem oddech, serce tylko biło mi jak młotem, a po krzyżach chodziły mrówki. Zwierz szedł ciągle, już nie dalej jak o osiemdziesiąt kroków odemnie. Widziałem już, że to łoś idzie, a przez głowę przeleciała mi myśl, że to jedna sztuka odcięła się przed psami od stada po strzałach mego sąsiada i chyłkiem wynosi się bokami, omijając miejsca, gdzie strzelano. Automatycznie podniosłem sztuciec i przycisnąłem kolbę do ramienia...

Czułem że strzelę zimno, tylko w piersiach miałem dziwne uczucie zdławienia, jak gdyby ktoś chłodną ręką ściskał mnie za serce. Słyszałem już łamane gałęzie i widziałem jak płatami spadał z nich śnieg strzęsany przez zwierza... Chwilami tułów niknął za obśnieżonemi gałęziami jodeł i widziałem tylko cztery migające nogi, potem na białem

tle czerniało ogromne, wysokie ciało. Widziałem te szczegóły ponad długą, błyszczącą lufą sztućca, który nieruchomo trzymałem przy twarzy, żeby ruchem nie spłoszyć zwierza, kiedy już będzie na strzał...

Jeszcze pięć sekund — i na polanę wynurzyła się głowa ogromna, podobna do końskiej, z obwisłemi wargami i badawczo poruszającemi się chrapami. Za głową, ubraną we wspaniałą koronę z rogów, pojawiła się szyja i niezgrabny przód zwierza na wysokich nogach. Czyto czysta, jasno oświetlona polana, czy woń jakaś podejrzana uderzyły zwierza, dość, że zatrzymał się na skraju, nie wychodząc zupełnie z gęstwy i węszył pilnie, strzygąc przytem ogromnemi uszami. Nie było czasu czekać aż strzelać będę mógł w komorę — zwierz stał *en trois quarts*. Przechyliłem twarz do kolby i wymierzyłem w szeroki kark, przed łopatkę...

Przez chwilkę na brunatnem tle zimowej szerści zwierza zabłyszczała mi przez wizyr muszka; pociągnąłem za cyngiel. Przez dym widziałem jak zwierz rzucił się w bok, zwracając się do odwrotu. Przez sekundę widziałem bok i strzeliłem drugi raz; łoś postąpił parę kroków i zwalił się jak kłoda...

Świat cały zniknął mi z przed oczu. Niepamiętny elementarnych reguł myśliwskich, każących pozostawać na stanowisku *malgré tout*, rzuciłem się do leżącego o czterdzieści kroków zwierza. Ogromnem ciałem wstrzęsały już tylko przedśmiertne konwulsye, a nogi wyciągnięte tak jak u zarżniętego wołu drgały gwałtownie w miękkim śniegu, splamionym jasną krwią, płynącą z ran.

Pierwsza z kul była zupełnie wystarczającą; ona to powaliła zwierza, trafiwszy wybornie w grube arterye, idące do głowy od serca. Druga kula wystrzelona zbyt pospiesznie uderzyła w piersi, zupełnie nisko gruchocząc żebra.

Uczucia, jakiego doznałem podbiegłszy do zabitej sztuki, nie próbuję nawet opisać. Oto przedemną leżał wspaniały zwierz; zabity przezemnie i tylko przezemnie; zwierz nieledwie przedpotopowy, którego wielu starych i doskonałych myśliwych zna ledwie z opisu. Dziś jeszcze, kiedy to piszę i patrzę na białą czaszkę o wspaniałej koronie z dwunastu końcami, najpiękniejszy klejnot mej myśliwskiej karyery, serce bije mi żywo i westchnienie ucieka z piersi na wspomnienie tego białego lasu, tych chwil i moich strzałów...

Na tem samem polowaniu zabito jeszcze drugiego byka o czterech końcach w koronie i cielę roczne. *S. Z.*

Szkice z podróży i polowań w Afryce

przez

Antoniego Pisulińskiego

(Ciąg dalszy).

Blantyre d. 2 lipca. Nie będę tu nudził opisem podróży z Katungi do Blantyre, bo nie ma w niej nic ciekawego. Jedynie to podnieść należy, że szliśmy tu po drodze wytrasowanej przez inżynierów angielskich — po drodze jedynej, jaka się znajduje w całej Zambezii. Wprawdzie nie jest to droga, o jakiej my mamy wyobrażenie, ale zawsze szersza od zwykłej ścieżki murzyńskiej — poprowadzona przez stoki i mniejsze pochyłości z przekopami i małemi szkarpami tu i tam. Mostów na niej nie ma, ale i strumienie przecinające ją są małe, a ogromne kamienie poukładane przez łożysko pozwalają przejść przez wodę suchą nogą.

Blantyre leży w górach na wysokości mniej więcej 4.000 stóp n. p. m. Aby się tam dostać, trzeba przebiedz kilka stromych łańcuchów górskich. Odległość od rzeki do wyż wspomnianego miejsca wynosi dwadzieściasiedm mil angielskich. Drogę tę można odbyć w jednym dniu; — zwykle jednak rozkłada się podróż na dwie etapy, z przystankiem we wsi Mbami, leżącej już wysoko w górach.

Nazwę Blantyre nosi właściwie tylko stacya missyi szkockiej. Ochrzczono ją tem mianem na pamiątkę jej założyciela, misyonarza i podróżnika dr. Livingstona, który się urodził w Blantyre w Szkocyi. Dziś jednak cała osada nosi tę nazwę, a tamtejsi mieszkańcy czarni wymawiają ją z całą precyzyą urodzonego John Bulla.[1])

Zanim dostałem się tamże, wysiedziałem się w Katundze dni jedenaście dla braku tragarzy. Nie potrzebowałem ich więcej nad czterdziestu, ale i tych zebrać było trudno, bo mieszkańcy tutejszej wioski nie byli skorzy do żadnej roboty. Dopiero gromadka Mangandżów, przybyła z gór dla zarobku, wybawiła mię z kłopotu. Znalazłem się wreszcie w Blantyre.

Ale ostre powietrze tutejsze — a może też nagła zmiana klimatu — podziałały niekorzystnie na mój organizm. Zaraz dnia następnego uczułem się nie zdrów, a wieczorem miałem już gorączkę i musiałem się położyć.

Cały tydzień przeleżałem w febrze; osłabłem bardzo i na razie nie mogłem myśleć o wyprawie. Tylko, że w tem powietrzu górskiem rychło się do sił przychodzi. Kilka dni regularnego życia — trochę lepszej strawy i wina — a co najbardziej, to dobre słowo poczciwej szkockiej lady, która przez męża swego misyonarza dowiadywała się o moje zdrowie — postawiło mnie na nogi. W końcu tygodnia byłem już zdrów zupełnie, tj. o tyle, o ile europejczyk w tym klimacie, zwłaszcza po silnej febrze, zdrowym być może.

Stary Czikunda, imieniem Antonio, którego znałem z nad Zambezy, zgłosił sie do mnie na służbę. Dostał tytuł „capitao“[2]) i powierzyłem mu zwerbowanie ludzi na wyprawę. Stary był niedołęgą, ale że dłuższy czas między Portugalczykami się obracał i tym językiem władał — a co więcej, iż mu do pewnej granicy zaufać mogłem — był dla mnie cennym nabytkiem. Prócz tego był zawsze z wielkiem uszanowaniem dla swego „muzunga“, a że sam dobrze zjeść

[1]) Blantyre mywawia się: Blentajr.

[2]) capitao — po portug.: kapitan — w użyciu kafrów: nadzorca.

lubił — więc patrzył, aby kuchnia pańska we wszystko obfitowała. Często też wyłapywałem go, jak się umizgał do sąsiadek — a to zapewne dla wyłudzenia jakiegoś lepszego kąska dla swego podniebienia. Miał lat około czterdzieści — włos pobielały siwizną, — ale nie przyznawał się nigdy więcej jak do dwudziestki i był niepoprawnym donżuanem. Cała zapłata, jaką dostawał, topniała w jego rękach na podarunki dla swoich kochanek, a musiał ich mieć nie jedną. Dwie jego żony opuściły go nareszcie; prowadził więc życie kawalerskie, ale często wspominał, iż żal mu dzieci, których od matek nie mógł odebrać.

Po kilku dniach miałem już około dwudziestu ludzi zapisanych.

Kilka pakunków z towarami przeznaczonymi do handlu zamiennego, — skrzynka z moją amunicyą, — amunicya dla ludzi, — namiot i inne naczynia i utensylia — rozłożone były w tak zwane „katunda“, nie przewyższające wagą dwadzieścia klgrm. tj. obliczone na najgorsze drogi w pogoni za słoniami. Dwa kosze krajowej roboty — uplecione z liści palmowych, zwane tu „ntanga“ — z najpotrzebniejszemi prowiantami — uzupełniały ekwipunek.

Dziewięciu z ludzi t. j. tych, którzy mi w polowaniu pomagać mieli, uzbroiłem w wielkie karabiny kabzlowe. Reszta dla własnej obrony lub wygody zabrać miała noże i dzidy. „Ulendo“ [3]) nasze stało więc gotowe do drogi.

Dnia 15. lipca wyruszyłem z Blantyre. Dwudziestu kilku ludzi ruszyło gęsiego po dobrze utrzymanej drodze. Za nimi ja, Antonio, mój służący z karabinem na słonie i dwóch starszych strzelców zwanych tropicielami. Kucharz Martinio prowadził pochód.

Droga od mego domu skręca na północ obok stacyi misyjnej i łączy się z gościńcem, wiodącym nad górną Szirę do miejscowości Matopi. Gościniec ten był również przez inżynierów angielskich wytrasowany — utrzymuje on kuminikacyę między dolną a górną Szirą na przestrzeni, gdzie rzeka zamkniętą jest dla nawigacyi kataraktami Murchisona. Kiedyśmy szli obok ogrodu misyjnego, wielu robotników czarnych zajętych było około budowy kościoła. Wybiegli też zaraz do wrót — jedni, aby się przypatrzeć „ulendowi“ białego — drudzy, aby pożegnać znajomych.

Patrząc na ten zakątek, przypomniałem sobie Europę. Widać tu domki o oszklonych drzwiach i oknach, ogrody z ścieżkami czysto utrzymanemi, nawet nasze drzewa i warzywa. I rzucając tę miejscowość na czas nieokreślony — mimowolnie zadawałem sobie pytanie: czy ją kiedy jeszcze zobaczę?!

Po za stacyą schodzimy w dół. Droga zniża się stopniowo, a przed naszemi oczyma otwiera się prześliczny widok na okolice górnej Sziry i na pasma gór po prawym jej brzegu leżące. Góry blantajerskie zostawiamy za sobą.

Ciemno się już robiło, gdyśmy się zatrzymali na nocleg. Maszerując tak od południa, nie mieliśmy przestanku ani razu. Obóz rozbito tuż przy drodze obok strumienia, noszącego nazwę Lunzu. Księżyc w pierwszej kwadrze wyjrzał dopiero po chwili i słabem światłem oświecił siedzących przy ogniach murzynów. Zaglądnął i mnie w oczy, i znów się schował poza chmury.

Jakoś bardzo cicho było w obozie, a spokój w naturze, przerywany zaledwie świerkaniem koników, przyczyniał się do poważnego nastroju umysłów. Prawdopodobnie każdy marzył o swoich, których zostawił w domu, i nie przerywał ogólnego milczenia, aż władca-sen poukładał jednego po drugim przy gasnących ogniskach. Ja sam tylko nie mogąc usnąć, długo jeszcze siedziałem u wejścia do namiotu, i obrabiałem w myśli plany przyszłych polowań. Dopiero około północy zimny wiatr, wiejąc od strumienia, zmusił mię do szukania przytułku pod wełnianemi kocami.

Dn. 16. lipca. — Nad ranem — gdym się obudził — byłem skostniały od zimna. Gęsta mgła napełniała atmosferę, a duże krople rosy pokrywały koce, odzienie i strzelby. Murzyni pokuleni siedzieli już około ognisk, które więcej dymu niż ciepła dawały. Niektórzy na blaszanych talerzach prażyli ziarna kukurudzy.

Martinio, najważniejsza po kapitanie Antoniu figura w obozie, gotuje kawę na sposób turecki. Rozesłano matę z liści palmowych i podają śniadanie. Prócz stołu, który tu matą jest zastąpiony, wszystko jeszcze przypomina cywilizacyą. Naczynia z żelaza emaliowanego, puszka z kondenzowanem mlekiem, inna z sucharkami, jaja, pieprz, sól i inne utensylia w wzorowym porządku. Ale i nie dziwić się temu, to dopiero pierwszy dzień wyprawy; nie tak wspaniale przedstawi się mój stół za tydzień lub miesiąc.

Umyłem się w strumieniu, i z apetytem, jaki przynosi noc pod niebem przespana — zabrałem się do śniadania.

Tymczasem Antonio wydał już swoje rozkazy. Namiot złożono — pakunki dotyczącym tragarzom oddano; pakują jeszcze resztę naczyć do ntangi[4]) — i ruszamy. Czarni, jeden za drugim — wymykają się na drogę, poczem znowu ja, strzelcy i Antonio zamykamy pochód.

Schodzimy jeszcze ciągle po nieznacznej pochyłości wśród nędznych lasów. Trawy dotąd nie popalone nie pozwalają oku zapuszczać się daleko w okolicę, więc zwierzyny dojrzeć trudno. Przy drodze zaledwie kilka śladów mniejszych antylop. Tak maszerując doczekaliśmy się południa, a że woda była przy drodze, tu się zatrzymujemy na obiad. Miejsce to nosi nazwę „Czimwu“ od jeziora, w którem prawdopodobnie kiedyś ubito jakiegoś nadzwyczaj wielkiego hipopotama. „Czimwu“ bowiem oznacza: wielki hipopotam.

Okolica tu jest już więcej otwarta, lecz prócz niezmiernych pól żółtej trawy i koron drzew gumowych, niczego dojrzeć nie można, bo nawet góry — któreśmy dotąd mieli na widoku — z tego miejsca nie są widzialne. Jeziorko leży ukryte w trawach i jest jedynem miejscem napoju na milę w promieniu. Wszelka zwierzyna z pobliża zaspakaja swoje pragnienie, gdyż śladów wiele po brzegach. Dominują między niemi ogromne ślady bawołów.

Prawie trzy godziny leżeliśmy w cieniu drzew nie mając odwagi ruszyć się z miejsca dla nieznośnego gorąca. Dopiero gdy słońce ku zachodowi chylić się poczęło, a Antonio kilka razy przypomniał, że do stacyi Matopi jeszcze daleko, zdecydowałem się powstać. Na szczęście odległość ta, którą on nas straszył, nie była tak znaczną, bo nim się ściemniło, ujrzeliśmy wierzchołki palm dzikich, a po kwadransie byliśmy już na miejscu. Była to owa wyż wspomniana stacya, należąca również do towarzystwa African Lakes C-y. Wioska murzyńska nosi nazwę Matopi.

Pośród ogromnych trzcin nadbrzeżnych widać tu dach słomiany i wysoki maszt, na którym powiewa flaga Wielkiej Brytanii. Nędzne to obejście otoczone jest płotem trzcinowym, który rozpadłszy się w kilku miejscach, dozwala ciekawym oczom oglądać szczególniejszy zbiór — wprawdzie nie starożytności, ale przedmiotów — leżących tu w zapomnieniu, może jeszcze od czasów Livingstona. Wiele skrzyń rozbitych, próżnych puszek z konserwów, stare naczynia,

[3]) Ulendo, — wyprawa — orszak.

[4]) Ntanga — koszyk z liści palmowych.

części maszyn, liny okrętowe i t. p., leżały tu obok siebie w przykładnej zgodzie. Tylko próżnych flaszek nie było pośród tej zbieraniny, co świadczać mogło o wstrzemięźliwości mieszkańców stacyi.

Wszedłem na podwórze; tragarze moi zatrzymali się u wejścia. Jeszcze nie miałem czasu rozejrzeć się gdzie jestem, gdy jakaś gruba ręka chwyciła moją dłoń — i trzęsąc nią prawdziwie po wyspiarsku witała słowami: How are You?[5]) Po chwili byłem już za stołem.

Znajomości w Afryce — szczególniej w tak odludnych stronach — robią się od razu. Każdy czuje się szczęśliwym, gdy po długiem nieobcowaniu z białymi znowu w ich towarzystwie się znajdzie... To też ku końcowi objadu byłem już na najlepszej stopie z mistrem B., który gościnnością swoją starał się pobyt mój tam uprzyjemnić. Do późnej nocy rozprawialiśmy, a tematem były przeważnie anegdotki myśliwskie, wiadomości z nad Zambezy itp. Dopiero pierwszy kur zapędził nas do łóżek.

Zgraja moja spała na podwórzu. Tylko Antonio wymknął się do wsi, a wyszukawszy tam jakiegoś przyjaciela, czyli — jak go zwał — brata, przepędził z nim wesoło noc całą.

Dnia 17. lipca. Około ósmej leżałem jeszcze w łóżku, gdy moi ludzie już do drogi się gotowali. Postanowiłem jednak dopiero po śniadaniu wyruszyć — raz, że miałem tu kupić nieco ryżu i mąki dla ludzi, powtóre, że nie mogłem odmówić gościnnym zaproszeniom pana B., dla którego moje zjawienie się było niejako epoką w życiu.

Antonio — ku wielkiemu memu zdziwieniu — uporał się rychło z „marondą“, zwyczajnie bowiem targował się w nieskończoność, a gadatliwość jego była przysłowiową. Śniadanie wkrótce dano, a posilony tak zwanem „oat-porridge“,[6]) potrawą, której nie śmie brakować na stole Szkota — nawet w centrum Afryki — dałem znak do pochodu.

Idąc w kierunku północno-zachodnim, mamy Szirę po lewej ręce. Długie pasmo gór ciągnie się równolegle z rzeką, ale w pewnej od niej odległości — zakończone szczytem Zomba, którego wysokość obliczają na 7.000 stóp n. p. m. Z drugiej strony rzeki szarzeją lasy, a poza niemi niebieskie linie gór, te same, któreśmy już oglądali z pewnej wysokości na drodze do Matopi. Preryе tutejsze pełne są zwierza, a według opowiadania moich strzelców nawet słonie tędy się kręcą. Radzili mi nawet, abym u podnóża Zomby obóz rozbił i najpierw tu na stokach gór słoni szukał, a dopiero, gdyby to się okazało bezskutecznem, moglibyśmy próbować szczęścia w kraju Angonich. Rada ta jednak nie przemawiała do mego przekonania, bo chociaż w lasku — którędyśmy szli — śladów mniejszej zwierzyny mnóstwo, to zato słoniowych ani na lekarstwo.

Ponieważ słońce było jeszcze wysoko, a do wsi Ngwary nie więcej jak dwie godziny drogi i prawdopodobieństwo przeprawienia się przez rzekę na dziś wykluczone, postanowiłem tu zapolować. Poza laskiem ciągnie się wielka równina, a za nią znowu lasy biegnące do rzeki, gdzie ma właśnie leżeć ta wieś, do której dążymy. Byliśmy na pewnem wzniesieniu i mieliśmy doskonały widok na równinę.

Rozglądając się do koła, wypatrzyłem wnet stadko „niakozwe“ z pięciu sztuk złożone. Odpoczywało ono nad brzegiem małego strumienia, na miejscu osłoniętem kilku kępami krzaków. Doskonały teren dozwolił mi się podkraść do nich na sto kroków.

Antylopy te, zwykle dość ciężkie i niepodejrzliwe, wydały mi się jakby zaalarmowane. Strzygły uszyma, parskały i tupały nogami oglądając się co chwila. Stary kozioł był najbliżej odemnie, ku niemu więc zwróciłem lufę mego karabinu. Już miałem pociągnąć za cyngiel, gdy całe stadko w bok się rzuciło i w szybkim pędzie przedefilowało koło mnie. Co ich tak nagle przestraszyło — dociec nie mogłem, wiatr bowiem sprzyjał, a ja zachowywałem się cicho — jak kot. Zgorączkowany tym obrotem rzeczy spudłowałem najhaniebniej. „Niakozwe“ znikły w wysokich trawach.

Szukając za niemi, wypłoszyłem jeszcze kilka innych antylop tego samego gatunku, — oraz ślicznego „Mpojo“[7]), do którego strzelałem dwa razy, z rezultatem dwóch pudeł więcej.

Podczas tych moich manewrów, czarni siedzieli na pobliskim wzgórku, i z smutnemi minami przypatrywali się tym niefortunnym popisom strzeleckim. Oni pragnęli „kisawi“[8]) — a tu pudło za pudłem. Pokazywali mi w oddali jeszcze kilka głów „niakozwe“ i zeber, ale już nie miałem ochoty iść za niemi, i postanowiłem sobie na przyszłość z mniejszą gorączką brać się do rzeczy. Trzy pudła w jednym dniu — to za wiele.

Całe to polowanie odbiło się tylko na moich rękach i nogach, które pokaleczyłem radykalnie. Ostre trawy i trzciny były tego przyczyną, — a tworzyły one tu prawdziwie nieprzebitą plecionkę. Utrudziłem się też porządnie, a pot grubemi strugami spływał po ciele. W takim stanie dobiłem się nad wieczorem do wsi.

Wieś Ngwara nie leży tak jak inne nad samym brzegiem, ale kryje się w gęstwinie lasu na jakie tysiąc kroków od Sziry. Otoczona żywym płotem akacyj kolczastych, którym Anglicy dali nazwę „wait-a-bit“ (czekaj troszkę), nie daje możności dostania się do jej wnętrza, jak tylko przez wejście od strony rzeki, które w razie niebezpieczeństwa zabarykadowanem być może. Powietrze tu duszne, ledwie kawałek nieba widno z pomiędzy koron olbrzymich drzew rosnących w środku wsi i w jej otoczeniu. Chat nie wiele, a i te, które noszą to miano, nędznie się prezentują. Ich mieszkańcy tak samo. Widać, że lenistwo, to główna ich cnota.

Dn. 18 lipca. W nocy budziłem się kilkakrotnie. Kilka lwów dawało w pobliżu koncert nie lada. Cisza nocy oraz echo lasu potęgowały jeszcze więcej tę serenadę, która trwała do rana. Koncert taki opisać trudno, ale ten, kto go raz słyszał z bliska, nie zapomni go już nigdy. Zapisuje się on na nerwach.

Z brzaskiem dnia ucichły lwy ustępując miejsca mniejszym, lecz przyjemniejszym spiewakom. Setki ptasząt z gatunku tkaczy świegotało między liściem palm dzikich, a w głębi lasu wabiły wilgi donośnym głosem. Rybitwy, aż gdzieś z pod obłoków, zasyłały nam swe pozdrowienia, zwiastując tym sposobem piękną pogodę.

Chłodno i wilgotno nam się zrobiło, gdyśmy ruszyli ze wsi. Należało przedzierać się przez gęste zarośla, a te były pełne rosy, ścieżka zaś, która tamtędy wiodła, była nader wąska, prawdziwie murzyńska. I litość mię brała, gdym patrzył na tych półnagich murzynów, których ciała drżały od zimna. Czuły to także małpy siedzące wysoko na drzewach

---

[5]) How are You? — jak się pan masz?

[6]) Oat = porridge — lemieszka owsiana.

[7]) Mpojo — antylopa z gatunku Cervicapra arundinacea.

[8]) Kisawi — przyprawa.

i wygrzewające się do słońca, gdyż spoglądały na nas z politowaniem, niby sobie zadając pytanie: czego ci ludzie właściwie szukają po tych obrzydłych, mokrych gęstwinach. Im tam na górze było sucho. I w podobnych chwilach żałować przychodzi, że się nie jest małpą.

U brzegu harmider, jak w dzień jarmarku. Właściciele „galawy“ [9]) targują się o cenę za przewóz, zaś Antonio chce ekonomizować i wyłuszcza Mangandżom, że żądają za wiele. Wreszcie po długich, „palawrach“ [10]) przekonują się, iż kapitan jest niewzruszonym i przyjmują po „czirundowi“ [11]) z dodatkiem czerwonych „czitalaka“ [12]) dla wioślarzy. I rozpoczyna się przeprawa.

Niebezpieczne to było przedsięwzięcie. Wiatr dął od wschodu, a łódka, ta prawdziwa łupina z drzewa, kołysała się w tak nerwowych ruchach po fali, iż zwątpiłem, czy „ulendo“ nasze cało na drugą stronę się dostanie. Do tego snuło się tu mnóstwo hipopotamów, a trudno przypuścić, by tutejsze bestye były więcej cywilizowane, niż na Zambezie, i nie zaczepiały europejczyka. Należało również zapomnieć o krokodylach, bo myśl taka jest niedobra i mogłaby sprowadzić zawrót głowy, a o kąpiel wtedy nie trudno. Najcenniejszy pakunek, bo realną wartość mający, przywiązaliśmy do łodzi. Był to karabin słoniowy. Na nim zależało mi najbardziej. W ten sposób został on niejako zaasekurowanym, gdyż nawet w razie wywrotu, można go było wyłowić. Za to dla pasażerów nie zostawało nic innego, jak tylko poddać się losowi i czekać, co nastąpi.

Na szczęście obeszło się bez wypadku. Sucho, chociaż po długich korowodach, wylądowaliśmy na brzeg przeciwny.

(C. d. n.)

9) galawa — łódka; to samo, co nad Zambezą nazywają almadyją.
10) palawer — gadanie, spór.
11) czirundo — 4 jardy ang.
12) czitalaka — koraliki z białem oczkiem.

KORESPONDENCYE.

Siedliska (pow. rawski) 20 marca.

(W obronie Niebyłowa)

W 3-im numerze *Łowca* wyczytałem w korespondencyi hr. A. Wodzickiego o Niebyłowie z niemałem zdziwieniem, że słusznie ta knieja „Niebyłów“ się nazywa, gdyż w niej „nigdy“ nic nie było, nie ma i nie będzie! Ponieważ tę knieję doskonale znam polując tam przez lat kilka, nie mogę się powstrzymać, aby (zanim to godniejsze jakie pióro uczyni), nie stanąć w obronie tej „najpiękniejszej“ może kniei na grubego zwierza, w szczególności zaś na dziki.

Nie pamiętam już, czy w czasach owych, w których w Niebyłowie polował Adam książę Sapieha, były w łamach *Łowca* zamieszczane sprawozdania z polowań, dlatego, dla zrozumienia rzeczy, pozwolę sobie przypomnieć Szanownym czytelnikom, że i dawniej knieja ta niezbyt pochlebną cieszyła się opinią i to tak dalece, że o ile pamiętam w r. 1888 spółka myśliwska, trzymająca tam polowanie, rozwiązała się a dzierżawcą polowania został sam książę Adam Sapieha. Książę, jako znakomity myśliwy, raz jeden tylko będąc w Niebyłowie (jakkolwiek wówczas polowanie zupełnie się, nie udało) orzekł, iż niepodobieństwem jest, aby knieje tak cudnie położone jak Krasna i Niebyłów, mogły być puste. Że książę miał słuszność, pokazało się to zaraz dowodnie na najbliższem polowaniu.

Jakoś w grudniu owego roku wysłał mnie Książę, abym się w Niebyłowie rozpatrzył, a skorobym spostrzegł, że polowanie możliwe, miałem zdać telegraficznie relacyę. Przyjechawszy do Niebyłowa, zorganizowałem z miejscowych kłusowników służbę myśliwską i rozpocząłem się rozglądać po kniei. Śniegi były ogromne — w kniei nie znalazłem ani jednego świeżego tropu, tylko dawne koryta, ale zasypane i nie pewne. Mimo to jednak, służba doskonale płatna w oczekiwaniu sowitego strzałowego, jakie im obiecałem, zapewniała mnie, że dziki są — ale nie ruszają z miotów i ruszać nie potrzebują, bo mają w miotach, w których zalegly, dość żeru w młakach i nie zamarzających nigdy odparzeliskach. Gdybym tak zechciał spróbować zapolować na ślepo, kierując się tylko staremi korytami, mógłbym się łatwo o prawdziwości ich twierdzeń przekonać.

Przedewszystkiem przekonałem się zaraz na wstępie, że chłopi tamtejsi, może bardzo sprytni jako kłusownicy na mięso, t. j. mistrze w zakładaniu oklepców na sarny etc., nie odpowiadają wcale temu pojęciu, jakie sobie o nich wyrobiłem na podstawie tylu uroczych opowiadań i opisów górskich kłusowników. Po krótkiej znajomości rozwiał się doszczętnie ów poetyczny nimbus, jakim w mej wyobraźni otaczałem postacie chłopów-myśliwych. Przekonałem się natomiast, że niezmiernie są chciwi na grosz, leniwi, a kłamią zapamiętale, tak, że nigdy ich relacyom wierzyć nie można; przytem — a to najgorsze — tropią licho i bardzo mało mają owego sprytu myśliwskiego, który przecież bardzo wiele znaczy. Przedewszystkiem więc należało sobie wyrobić ludzi i dać im dobrych profesorów a krótko trzymać, przekonując ich, że się każde kłamstwo wyda i do niczego dobrego nie prowadzi. Zawezwałem więc z Krasiczyna czterech tropicieli i dojeżdżacza, psów trochę pozostało w Niebyłowie po byłej spółce, trochę przyszło z Krasiczyna — rozpocząłem tedy z p. Deskurem, bardzo dobrym myśliwym, mieszkającym podówczas w Posadzie Niebyłowskiej, polowania próbne z psami, oryentując się po starych tropach, bo świeżych nie było. Zaraz w pierwszym miocie trafiliśmy na kilkanaście dzików. Psy, mimo kolosalnych śniegów, brały jako tako, ubiliśmy trzy grube sztuki, a bojki przekonali się, że przecie i po takich śniegach można chodzić, skoro myśmy chodzili, choć w równinach do takich wysiłków nie byliśmy nawykli.

Zachęceni dobrym początkiem, zaczęliśmy łazić i szperać po miotach młaczystych, sypać kukurudzę, i dziki się znalazły. I to dość dzików się znalazło, bo gdy Książę ze swymi gośćmi przyjechał i na seryo polować zaczął, padło 64 dzików i 4 rysie, między tem zaś było 16 warchlaków, a reszta same grube sztuki, niektóre prawdziwe kolosy.

Na późniejszych polowaniach padło raz 36 dzików, drugi raz 22 dzików. Sam więc widziałem 122 ubitych dzików, a przecie nie na wszystkich byłem polowaniach, bo przeniosłszy się do Rawy, na polowania do Niebyłowa nie byłem już wzywany.

Nie można więc powiedzieć, że w Niebyłowie „nigdy“ nic nie było, bo 64 dzików w kilku dniach, to nie jest „nic“ i o ile wiem, w Galicyi w jednej seryi tyle dzików nigdy nie ubito. Pamiętać także należy, że to nie były latami szanowane i karmione dziki jak np. w Toporowie etc., gdyż polowaliśmy bez żadnych sztuczek, zwabiań, zganiań etc.

Prawda, że polowanie w Niebyłowie, w tych ogromnych miotach zawalonych i przepaścistych i wobec bardzo dużej przestrzeni, jaką knieja zajmuje, nie jest łatwe i wymaga, obok znajomości, i to gruntowej znajomości rzeczy, także i wydatków pieniężnych i wysiłków fizycznych. Do dyspozycyi miałem 17 dobrze płtanych tropicieli, no i amatorów kilku. Ci amatorowie, to była najlepsza rękojmia, że się polowanie uda, bo jakkolwiek jako goście Księcia mieli zupełne prawo dać się zawieść na stanowisko i wygodnie po dobrem śniadaniu czekać na dziki — oni, jako znakomici a pasyonowani myśliwi już o świecie byli w kniei i tropili na wyprzódki z bojkami i gajowymi. To właśnie, obok kontroli naszej własnej służby myśliwskiej sprawiło, że i do tropienia najęci chłopi inaczej poczęli się ruszać, skoro spostrzegli, że się nie wykłamią, bo panowie depcą im po piętach i każdy trop sprawdzają, a na rzeczy rozumieją się doskonale. Gdy jeszcze tropiciele dostawali zawsze po kilka reńskich od ubitej sztuki i to zaraz w lesie na ciepłego trupa, wtedy rzecz wzięła zupełnie inny obrót. Jakby ruszczką czarodziejską dotknięci, nabrali i ochoty i rozumu, a nawet i sprytu trochę, tak, że przy jakiej takiej pomocy z naszej strony, można było tych ludzi użyć.

Nie było dnia, aby kilkadziesiąt dzików nie było obtropionych, raz nawet było obciętych 120 sztuk. Naturalnie nie dało się na wszystkie objechane dziki polować; nie byliśmy w stanie wziąść więcej niż dwa mioty, czasem trzy, ale to już z wielkim wysiłkiem.

I rysie zawsze były. Raz ich było ośm obciętych; zanim Książę przyjechał wyniosły się do Sołotwiny, ale wróciły i ubiliśmy cztery na owej sławnej Majdańskiej drodze pod Kamieniem.

Być może, iż w ostatnich czasach zwierzostan zmniejszył się w Niebyłowie, nie mniej jednak faktem jest, że za czasów księcia Adama Sapiehy było dzików dużo, skoro ich tam sto-kilkadziesiąt sztuk padło w krótkim czasie i 8 czy 9 rysiów, nie licząc drobiazgu, bo i tego bywało dość, osobliwie w Turowie Kraśnieńskiej.

Takie mioty jak Rypa, Kamień, Czereszeńki, Jamy, Zakuty, Birki, Syhła, Mała Turowa, Ile — miały zawsze dziki, a rysie prawie stale trzymały się na przestrzeni pomiędzy Kraśnieńską Rypą a Birkami. Raz tu, raz tam oblegały, ale z tego pasu na długo nie wychodziły.

Prawda, że aby tak polować, jak książę Sapieha polował, potrzeba przedewszystkiem umieć tak komenderować, jak to Książę potrafi. Potrzeba mieć kilkunastu dobrych tropicieli, a pod żadnym warunkiem nie słuchać kameralnych leśnych, chyba Petza i to z zastrzeżeniem; następnie konieczne są dowodne, bierne psy i conajmniej dwieście ludzi do obławy, która nie gonić ma, ale stać ścianą i nie wypuścić dzików z miotu miejscem przez strzelców nieobsadzonem. Miot cały nigdy obstawić się nie da strzelcami, a waga prawie we wszystkich miotach jest i w tył i naprzód. Już to gorszej nagonki jak w Niebyłowie nie ma chyba na świecie, i nadludzkich potrzeba było wysileń, aby tę hałastrę utrzymać w jakim takim porządku, jeśli się zdarzało, że idąc psom w pomoc, musieli gonić mioty. Bez psów, i to dobrych psów, polowanie w Niebyłowie niemożliwe, nic się więc nie dziwię, że przy takiej nagonce zwierz z miotu wygonić się nie da na strzelców, osobliwie zaś jeleń, który i przy dobrej obławie z mniej zawalonych miotów prawie nigdy na strzelców nie wychodzi. Już to jeleni w Niebyłowie nigdy dużo nie było. Dopiero za naszych czasów przyszły z Jasienia, a gdyśmy je szanowali, karmili i dali lizawki, trzymało się ze 16 sztuk w Ilu i pod Kamieniem od złodziejskich Zworów. Ryczały zawsze w Czereszeńkach w czasie bekowiska, ale tam podchodzić je bardzo trudno w tych strasznych gąszczach.

Prawiebym ręczył, że w jesieni zawszeby się niedźwiedź znalazł w Rypie lub w Czereszeńkach, nie ma tam jednak takiego, któryby na czarnej stopie potrafił tropić, chociaż Oleksa Szwec z Posady Niebyłowskiej i Hrynio z Krasnej nie źle się poduczyli tropienia. Nie głupi także i kameralny Petro, uczeń Kaźmirza Rozwadowskiego, byłego kameralnego zarządcy w Niebyłowie, ale temu nie pozwolić dużo gadać a dobrze trzeba płacić, bo choć wie gdzie zwierza szukać, to nie powie.

Nie wiem zatem, czy obecnie jest zwierz w Niebyłowie, ale że był, i to gęstą ręką, to poświadczą wszyscy ci, którzy z księciem Adamem Sapiehą polowali.

Panie Głuchowski Grzegorzu — stary druhu — a Pan się nie odezwie? *Kazimierz Remiszewski.*

Lwów, 19. marca 1895.

(Wspomnienia myśliwskie z Lubienia).

Dziwna jakaś apatya u nas panuje i zaczyna nawet ogarniać drużynę Śtgo Huberta: każdy chętnie poluje, lecz gdy idzie o to, by podzielił wrażenia myśliwskie z innymi kolegami, skreślił choć w kilku słowach przebieg polowania— wtedy idzie jak z kamienia. A jednak jednem pociągnięciem pióra można zrobić przysługę Redakcyi *Łowca*, zainteresować kolegów myśliwych, wreszcie wyrazić swe zadowolenie lub niezadowolenie właścicielowi polowania.

Czytając pilnie *Łowca*, z pewnem zainteresowaniem czekałem na numer z lutego, następnie na numer marcowy, spodziewając się wyczytać jakiś artykulik o łowach Lubieńskich. Skoro to jednak nie nastąpiło, spróbuję swych sił, a sądzę, że nie przyjdzie mi z trudnością opisać te iście ciekawe i piękne polowania. A były one nie codzienne, raz dlatego, że brał w nich udział książę Sasko-Koburgski (szwagier Arcyksiężnej Stefanii), powtóre dla tego, że knieja roiła się od dzików. Na dowód tego przytoczę, iż pierwszego dnia polowania t. j. 16. stycznia 1895 strzelano do dzików w 6 miotach, drugiego zaś dnia spotkaliśmy dziki w 4 miotach i wszyscy myśliwi z wyjątkiem pana N. do dzików strzelali.

Ogólny wynik dwudniowego polowania był: dzików 11, 1 lis, kozłów 10, zajęcy 58.

Muszę podnieść z ubolewaniem, że nawet znakomici myśliwi strzelali nie zbyt celnie, skutkiem czego rezultat polowania nie był taki, jakiego można było się spodziewać przy tak wielkiej ilości dzików. Drobnej zwierzyny można

było ubić znacznie więcej, ta jednak uchodziła bez strzału w miotach dziczych.

Nie potrzebuję nadmieniać, że humory całej drużyny myśliwskiej były świetne. I nie mogło być inaczej: polowanie królewskie, objadek znakomity, wreszcie odpoczynek w wygodnem łóżeczku — jednem słowem komfort 19 wieku połączony z serdeczną a niewymuszoną gościnnością. Gościnności tej, ja jako jeden z bliższych sąsiadów może nadużywam, gdyż często dojeżdżam do Lubienia na małe improwizowane polowanka, (które mówiąc między nami są najmilsze). Rezultat tych wycieczek w 2 strzelby, kiedy to całą pogonkę stanowią 4—5 leśnych, bywa nieraz znakomity. I tak 27. stycznia ubiliśmy za trzy godziny 2 dziki, 6. lutego 2 dziki, 18. lutego 3 dziki, 26. lutego 2 dziki, 1. marca 2 dziki. — Ogółem zabito w Lubieniu od 18. grudnia 1894: dzików 29, lisów 5, kozłów 19, zajęcy 83.

Sądzę, że nie wypadało zamilczeć o takiej kniei, a dziękując gospodarzowi za miłe chwile, które niejednokrotnie u niego spędzałem, życzę tylko by przyszły sezon myśliwski nie był gorszym *H.*

Łańcut, 20. marca 1895.

(Kuropatwy — wczesne lęgi)

Wyczytawszy w korespondencyi hr. M. Tyszkiewicza w *Łowcu* z marca r. b., że w okolicy Starych Brodów pokazało się niebywale dużo kuropatw, spieszę tak samo podzielić się z czytelnikami *Łowca* podobną wiadomością, że i w okolicy Łańcuta również znacznie więcej kuropatw zauważałem. Podnoszę to szczególnie dlatego, iż jesienią roku zeszłego, mniej właśnie jak po inne lata było u nas kuropatw, zima zaś również u nas ostra, śnieżna i długotrwała, jak i w całej prawie środkowej Europie, bardzo zwierzynę zdziesiątkowała. Gdzież więc szukać przyczyny nalotu kuropatw? Czy może w tem, że podajemy żywność zwierzynie i tępimy wszelkiemi możliwemi sposobami najzaciętszego i największego wroga zwierzyny, lisa? Czy może leży to już w naturze kuropatw, aby wędrować? Jest to dla mnie na razie zagadką. Zawsze jednak bardzo rad jestem i cieszę się z podobnego wypadku, a chociaż zakrawa to na samolubstwo — bo jużci o ile do nas więcej kuropatw przybyło, o tyle ich gdzieś indziej ubyło — to zawsze myśliwego podobne pojawianie się większej ilości zwierzyny emocyonuje i cieszy, i zapewne każdy życzyć sobie będzie, aby takie zagadki częściej a nawet co roku się powtarzały.

Wyczytawszy dalej w korespondencyi p. B. Brichta z Nowego Mizunia, że tam 8. stycznia r. b. ubito kotną zajęczycę, spieszę tak samo zakomunikować czytelnikom *Łowca*, że u nas już 15. lutego r. b. przydybano kilka młodych ale już zmarzniętych zajączków. Daj Boże, żeby rok ten był rzeczywiście tak korzystnym i sprzyjającym rozpłodowi zajęcy, jakto szanowny korespondent podnosi. Co do mnie pozwalam sobie wątpić, przynajmniej u nas, bo tu zima tegoroczna wcale do łagodnych i bezśnieżnych nie należała, a to przecie rozmnoży sprzyjać nie może. Tembardziej się bogatego zwierzostanu zajęcy nie spodziewam, że początkowo a więc w grudniu r. z. i w styczniu r. b. rzeczywiście była zima nieco łagodniejsza i cieplejsza, co pobudziło zające do parkania, a skutkiem tego jest powyżej przytoczone znalezienie w lutym już, gdzie były największe zimna, pomieciоnych a zmarzniętych młodych zajączków. Pierwszy więc rzut zajęcy uważać można tego roku prawie za stracony, a topniejące śniegi zatopią łąki i niżej położone pola, więc i późniejsze rzuty tak samo przepaść mogą.

Wprawdzie u nas oprócz sarn, których już sztuk parę odpadło, nie widać jeszcze na innej zwierzynie skutków tej długotrwałej i srogiej zimy — lecz ileż to pracy, trudu i mozołu kosztowało, a ile karmy rozmaitej rozdano! Jednakże i tak nie jest się jeszcze pewnym, co nam przyszłość przyniesie i czy nie zaczną jeszcze ginąć zające i inna zwierzyna, przebywszy ciężką zimę, a obecnie mając nieodpowiednią paszę, bo mokrą i zamuloną. *Wł. Lewicki.*

Bielsk, w kwietniu 1895.

(Konkurs o nagrodę 1000 zł. za fakrykacyę najlepszego śrótu).

Numerowanie śrótu od $5^1/_2 - 1^1/_2$ m/m stopniowo po $^1/_4$ m/m, podniesione jako nowość, poruszyło żywo niemieckich myśliwych i fabrykantów śrótu i doprowadziło w dziennikach fachowych do bardzo nieprzyjemnych rozpraw. Nam w Austryi, gdzie taka numeracya od przeszło 50 lat istnieje, byłoby to zupełnie obojętnem, gdyby przy tej sposobności nie twierdzono:

1. Że śrót twardy (*Hartschrot*) nie przedstawia żadnych osobliwych korzyści dla strzelców i nie jest twardszy od śrótu miękkiego (*Weichschrot*);

2. Że śrót twardy jest tylko dla fabrykanta korzystnym ale nie dla myśliwego;

3. Że w całym świecie nie fabrykują lepszego śrotu jak w Niemczech.

Ponieważ dotychczas z żadnej strony na powyższe twierdzenia nie odpowiedziano, czuję się spowodowanym przeciwko bałamuceniu opinii publicznej i niczem nie uzasadnionym przechwałkom stanowczo wystąpić i odpowiadam:

ad 1. Od zaprowadzenia fabryk śrótu używano tylko śrótu twardego, a dopiero od czasu, gdy technika hutnicza wprowadziła rafinowanie czystego, miękkiego ołowiu, strzelano śrótem miękkim. Trwało to jednak tylko dopóty, dopóki się o lepszych zaletach śrótu twardego nie przekonano.

Pytanie, czem strzelać, czy śrótem miękkim czy twardym, jest już teraz, po dziesiątkach lat, powszechnie na korzyść śrótu twardego rozstrzygnięte, gdyż w bajkę o psuciu lufek śrótem twa dym nikt już nie wierzy, a w wadze między jednym a drugim śrótem niema żadnej różnicy. Główna zaleta śrótu twardego polega na tem, że z powodu swej twardości przy wylocie z lufy mniej od miękkiego się deformuje. Śrót twardy przebija przeto z mniejszym oporem powietrze, a skutkiem tego strzał idzie i uderza kupą, nie rozprasza się, i więcej ziarn przedmiot celu trafia. Wynikiem tego jest, że śrót twardy razi śmiertelnie na dalszą metę, podczas gdy śrót miękki tylko kaleczy. O wspomnianych własnościach można się w następujący sposób najlepiej przekonać:

Do miękkiej tarczy papierowej, bez twardej podkładki, około 6 stóp w kwadracie, strzela się z odległości około 40 metrów najlepiej drobnym śrótem, policzywszy wprzód ziarna śrótu, użytego do ładunku. Po strzale ziarna w tarczy okażą, że ze śrótu miękkiego ledwo 75 ziarn na 100 tarczę dosięgło, podczas gdy ze śrótu twardego wszystkie niemal 100 ziarn widać w tarczy, oprócz tego ze śrótu miękkiego

znajdziemy wiele ziarn spłaszczonych i w ogóle zdeformowanych w miękkiej tarczy, co świadczy, że takowe już w lufie swą formę straciły. Że śrót twardy zresztą lufy mniej zaołowia niż śrót miękki, byłoby zbytecznem udowadniać.

W Anglii, Belgii, Włoszech i t. d. używają w ogóle tylko śrótu twardego, tak samo i we wszelkich strzelaniach sportowych, jak np. przy strzelaniu gołębi w Monte Carlo, gdzie mojemu śrótowi „Imperial“ pierwszeństwo oddano. Że śrót twardy nie jest twardszy od śrótu miękkiego, może tylko ten twierdzić, kto żadnych aparatów lub środków do ustalenia stopni twardości nie posiada. Przy rozsądnej fabrykacyi śrótu dopiero wtenczas leje się śrót, gdy się przekonano, że twardość i ciężar gatunkowy ołowiu są odpowiednie.

ad 2. Że śrót twardy jest tylko dla fabrykanta ale nie dla myśliwego korzystnym, może tylko ten twierdzić, kto ani myśliwym nie jest ani fabrykacyi śrótu nie zna. Zważając na to, że dodatki, które do ołowiu dla uzyskania twardości dodane być muszą, o wiele są droższe od ołowiu, jest wyrób śrótu twardego — a zwłaszcza grubszych numerów — o wiele trudniejszym i droższym od śrótu miękkiego, co mi każdy doświadczony fabrykant śrótu potwierdzi. Drobny śrót miękki może każdy sam ze strychu lać.

ad 3. Twierdzenie, że w Niemczech można dziś lepszego śrótu dostać niż gdziekolwiek indziej w świecie, mógł tylko jakiś zacietrzewiony germanista wymyśleć.

By z całą dosadnością wykazać mylność i brak wszelkiej podstawy do tej niczem nie uzasadnionej przechwałki — proponuję największym 10-ciu fabrykom śrótu w Europie, aby wzięły udział z wkładką dobrowolną po 100 złr. w konkurencyi o lepsze co do śrótu twardego, nie lanego we formach. Zwidzimy te 10 fabryk śrótu od Rygi i Dźwinska aż do Triestu i od New-Castle do Buda-Pesztu i Charkowa — a fabryka, w której znajdziemy najtwardszy, najokrąglejszy, największy a specyficznie najcięższy śrót, otrzyma w dowód uznania najlepszej fabrykacyi, kwotę 1000 złr. w. a. powstałą z powyższych wkładek.

Proszę przeto o łaskawe zgłoszenia do rozpisanego niniejszem konkursu do dnia 1. maja r. b., aby, można celem zwidzenia fabryk wspomnianych już w dniu 5. maja r. b. w drogę się wybrać, a ja obowiązuję się wszelkie narzędzia potrzebne do ocenienia wyszczególnionych powyżej własności śrótu mieć w pogotowiu. Ocenienie rozpocznie się od wyrobów podwójnie twardego śrótu w mej fabryce.

Ponieważ się się już rozpisałem, ośmielam się początkujących Nemrodów poinformować, jak na mojej strzelnicy, bez wszelkich drogich przyrządów, wprawia się w strzelaniu.

a) Do strzelania w lot używa się słupa z poprzeczką, u której wisi sznurek, a na końcu sznurka flaszka, szkło, kamień itp. Przedmiotom tym, raz wyprowadziwszy je poruszeniem z równowagi, nadaje się ruch wahadłowy, i w ciągu tego ruchu strzela się do nich. Strzelać można z frontu tj. pod kątem prostym do linii ruchu, lub z boku, tj. w kierunku linii ruchu.

b) Do strzelania w biegu, używa się tarczy, która odpowiednim przyrządem w ruch wprowadzona, zsuwa się szybko po skośnym drucie.

Nareszcie podaję panom myśliwym, którzy nie mają czasu lub sposobności robić próby z różnemi ładunkami, kilka rezultatów strzałowych, uzyskanych w przeszłym tygodniu przy próbach na mej strzelnicy.

Meta 50 kroków, ilość śrótu 28 gramów Nr. 4.

Rozmiar tarczy 67 × 47 centimetrów.

Nr.	Przebija 11 mm. deskę świerkową i ile kartek gazetowych	Trafne w kole w centimetrach					Uwaga z dubeltówki cal. 16.	
		10	20	30	40	poza 40cm.		
1	162	1	4	4	8	16	4½ gr. prochu, śrót miękki, przyb. z filcu otłuszczona	kabzle zwyczajne
2	176	4	4	11	12	14	4 gr. prochu, śrót Imperial, przybitka Imperial	
3	200	9	17	23	17	11	4 gr. prochu, śrót Imperial, Shrapnell Imperial	
4	194	5	10	16	11	18	4 gr. prochu, śrót Imperial, koncentrator Imperial	
5	192	2	6	3	10	23	4 gr. prochu, śrót Imperial, tutka z wielką kabzlą, przybitka Imperial	
6	194	1	7	11	10	16	4 gr. prochu, śrót Imperial, tutka „Blitz“, przyb. Imperial	
7	205	4	8	13	5	30	4 gr. prochu, śrót Imperial, tutka z kabzlą ostrzejszą, przybitka Imperial	

U wszystkich ładunków zacięte były krawędzie ponad śrótem w krzyż, te 4 części jedna na drugą złożone i sertisseurem zakręcone. Dawanie przybitki jest zbyteczne i przeszkadza tylko; rezultat przy postępowaniu powyższem jest o wiele korzystniejszy jak to przy kilkuletnich próbach skonstatowałem.

Rudolf Nerlich,
fabryka towarów ołowian. amunicyi, plantacya i piekarnia karmy dla zwierzyny.

Podkamień, dnia 18. marca 1895.

(Propozycya)

Zbytecznem byłoby dowodzić — bo głos ogółu już to w kraju orzekł — że cenne artykuły p. Władysława Spausty, pojawiające się w szpaltach *Łowca*, podniosły to pismo do takiej literackiej wartości, do jakiej mało pism w tym rodzaju redagowanych w innych językach wznieść się zdołało. Nie przeczę, że artykuły pisywane przez przyrodników, którzy tajemnice przyrody badają przy zielonym stoliku, większą jeszcze odznaczać się mogą ścisłością. Są one wprawdzie drogocennym skarbem dla specyalistów, ale dla ogółu, którego ta matematyczna ścisłość mało zajmuje, i wskutek tego niema cierpliwości ich czytać i badać, nie wiem, czy wiele przynoszą pożytku. Ogół pragnie się pouczać, ale zabawić się zarazem. Prace Władysława Spausty, w przekonaniu mojem, dopięły tego celu w zupełności. Czyż z głęboką erudycyą połączona dusza poety i serce, gorąco kochające wszystko to co swojskie, nie są to owe magnesy o czarownej sile, które ogół czytelników porywają, pouczają i uszlachetniają?

Niestety! te drogocenne perełki naszej literatury przyrodniczej i łowieckiej są dotąd jeszcze na zbyt rozległej przestrzeni porozrzucane, by z nich ogólny zrobić można przegląd, a ponosi na tem prawdziwą szkodę nasza literatura przyrodnicza i łowiecka. Zdaje mi się więc, iż trafię w myśl całego naszego łowieckiego świata podnosząc tę sprawę, i udając się do Szanownej Redakcyi Łowca, jako do naszego przedstawiciela: Czyby Szanowna Redakcya nie chciała być pośrednikiem między nami a czcigodnym autorem i potrafiła go nakłonić, by te wszystkie drogocenne kwiaty, szczodrą dłonią jego porozrzucane na zbyt wielkiej przestrzeni, pozbierał i w jeden splótł wianek, a potem go

oddał naszemu łowieckiemu światu, w postaci zbiorowego wydania prac swoich. Ani chwili nie wątpię, że na całym obszarze ziemi polskiej nie będzie może z czasem ani jednego miłośnika przyrody i ani jednego myśliwego, któryby zbiorowych dzieł Władysława Spausty nie posiadał*.)

Leopold hr. Starzeński.

Sprawozdania łowieckie.

— W Rymanowie zastrzelił hr. Jan Potocki na jednem stanowisku dwa rysie a trzeciego postrzelił — nie mając czasu nabić obu luf — zresztą i nie dziw, bo emocya nawet u najstarszego nemroda jest wielką. — Tym sposobem w krótkim czasie zginęło tego roku 3 rysie w Rymanowie, a później ubił hr. Potocki jeszcze jednego tj. razem 4 sztuki. Ogromne szkody zrządziły one w sarnach i długie lata trzeba będzie czekać na podniesienie tak pięknego stanu sarn, jaki był w Rymanowie — gdzie po zakładzie spacerowały swobodnie. *W. Z.*

— W dobrach Bieńkowa Wisznia i Nikłowice, własności hr. Andrzeja Fredry, padło w sezonie tegorocznych polowań: w Bieńkowej Wiszni: 16 rogaczy, 12 zajęcy, 11 kuropatw, 17 kaczek, ptactwa drobnego 40 sztuk, — 12 lisów, 5 psów, 7 kotów, 7 jastrzebi.

W Nikłowicach: 1 rogacz, 87 zajęcy, 20 sztuk ptactwa różnego, 3 lisy, 7 psów, 11 kotów, 6 jastrzębi.

Zima tegoroczna dla zwierzyny była bardzo ciężka, i pomimo dobrego karmienia przez całą zimę owsem, koniczem, ścinanemi osikami itd., młodsze i słabsze sztuki sarn padają. Między zającami motylica — a kuropatwy wyginęły całkiem. Już dziś można przewidzieć, że rok następny co do polowan nie przedstawi się wesoło. *F. J. W.*

— W Sopowie, własności p. Antoniego Kunca na Pokuciu, na polowaniach urządzonych w styczniu, padło 70 zajęcy i kozioł. Gospodarz czyni wielkie starania w celu utrzymania i rozmnoży zwierzyny łownej, co mu się już znacznie powiodło, mimo wielkich szkód, jakie mu kłusownicy bezustannie wyrządzają. *F. P.*

KRONIKA.

Przygoda z dzikiem. Działo się zeszłego miesiąca, w Kopyczyńcach na Podolu. Do sądu powiatowego przyszedł chłop z ręką skrwawioną, z jedną nogą w bucie, a drugą szmatami obwiązaną, z miną desperacką.

— A co tom — pyta sędzia — czy was pobito?.

— O! jeszcze gorzej, ale ja mówić nie mogę, niech ci gadają — odpowiada chłop, wskazując na dwóch towarzyszy, którzy za nim do biura weszli. — Opowidajte, ałe wid kińcia — i nie mogąc się na nogach utrzymać, przykucznął na podłodze.

Jeden ze świadków rzekł:

— Jedziemy, panie sędzio, dziś rano do lasu Oryszkowickiego po drzewo, ale widzimy z daleka, że coś pod lasem na polu jeździ kołem, hej niby w jakim cyrkusie i krzyczy o pomoc. Jużeśmy myśleli, że to coś niesamowitego, ale przybliżywszy się, widzimy, że to tego tu chrześcianina (pokazują na pierwszego chłopa) coś nosi po polu. Nie mogliśmy tylko jeszcze poznać, na czem on właściwie tak jeździ. Ale ponieważ krzyczał rozpaczliwie, zbliżamy się z siekierami i teraz widzimy, że on siedzi na ogromnym dziku, trzyma się rękami szczeciny i tak po śniegu w koło galopuje. Zabiliśmy więc dzika i odwieźliśmy go do leśniczego, a ponieważ tenże za zabicie zwierza żąda odszkodowania, przychodzimy tu do sądu, ażeby zdarzenie to opowiedzieć.

— A jakże człowiek ten dostał się na dzika? — pyta sędzia.

— A ot tak — opowiada teraz sam jeździec: — Szedłem po pod las i wpadłem do próżnej jamy wykopanej na kartofle, a przykrytej śniegiem, w której znajdował się dzik. Ten się na mnie rzucił, ale szczęściem udało mi się wskoczyć na niego, przyczem on kłem swym tylko but mój szarpnął i z nogi mi ściągnął, poczem ze mną z jamy wyskoczył i zaczął mię nosić po polu, i kto wie coby się było stało, gdyby ci dwaj nie byli mi na pomoc przyszli.

Po oświadczeniu sędziego, że kary za zabicie dzika nie potrzebują się obawiać, wyszli chłopi, a mimowolny jeździec oświadczył na ostatek słusznie: że taka przygoda tylko biednemu chłopu zdarzyć się może.

Lwy w walce niedźwiedziami i hyenami. Nie sądź czytelniku, że wyczytasz opis jakiejś sceny z krainy podzwrotnikowej lub podbiegunowej. Bynajmniej. Mimo aktorów podbiegunowej i podzwrotnikowej proweniencyi, tragedya odegrała się na wcale nietropikalnym i niepolarnym gruncie wschodniej Galicyi. Niezwykły fakt zdarzył się przed kilkunastu dnimi na stacyi kolejowej w Rawie ruskiej. Rzecz miała się pokrótce następująco. Właściciel wędrownej menażeryi pan Klucky, które, zeszłego lata bawił także we Lwowie, transportował swe dzikie bestye koleją żelazną z Żółkwi do Rawy Ruskiej. W jednej wielkiej klatce, przedzielonej na dwie części, pomieścił p. Klucky z jednej strony trzy okazałe lwice, zaś z drugiej, oddzielone zwykłemi deskami, wspólnie cztery hyeny i trzy niedźwiedzie. W drugiej klatce obok królowały dwa piękne lwy.

Całe to miłe towarzystwo dojechało szczęśliwie i we względnej zgodzie do Rawy ruskiej. Tu oczekiwano przybycia właściciela, który miał przyjechać saniami. Nagle przybiegł na stacyę jakiś robotnik i zawiadomił, że zwierzęta muszą być z sobą w walce, albowiem z wozu dolatuje szalony ryk. Natychmiast udano się do owego wozu, a tu przedstawił się patrzącym straszny widok. Zgłodniałe lwice wyłamały drewniany przedział i dostały się między niedźwiedzie i hyeny. Jednego niedźwiedzia zjadły lwice zupełnie, pozostała z niego tylko jedna łapa i skóra, drugiemu niedźwiedziowi odgryzły królewne puszczy tylko jedną łapę, jedna zaś hyena leżała zaduszona. Wkrótce nadjechał p. Klucky i z przerażeniem zobaczył co zaszło. Naturalnie, że nikt przed nim nie odważył się rozdzielić walczące dzikie bestye, dopiero p. Klucky mimo tak groźnej sytuacyi wszedł do klatki. Lwy i hyeny zdołał uspokoić, natomiast rozjuszony niedźwiedź z przegryzioną łapą, widocznie z bolu, ugryzł p. Kluckiego w ramię.

Bociany przyleciały tej wiosny w różnych okolicach naszego kraju na śniegiem zawiane pola i gniazda. Lud wiejski, przywiązany do tych ptaków, chronił je od śmierci głodowej rzucając im kartofle

*) Sprawimy niezawodnie przyjemność Szanownemu Korespondentowi i w ogóle myśliwym naszym doniesieniem, że wydawnictwo zbiorowe pięknych rozpraw Władysława Spausty zostało postanowionem. Podejmuje się go znana księgarnia wydawnicza Gubrynowicza i Schmidta. Spodziewamy się, że już w ciągu b. lata znajdzie się zbiorek tych rozpraw w ręku czytelników. (Przyp. Red.).

gotowane Nietylko tym zwiastunom wiosny zgotowała kapryśna przyroda w tym roku tę niemiłą niespodziankę.

Bóbr kamczacki, gdyby go nie wziąć w opiekę, wkrótce przeszedłby do wspomnień. Tępione niemiłosiernie, zwierzę to ginie już na Syberyi, skutkiem czego rosyjskie ministerstwo rolnictwa postanowiło na 10 lat zabronić polowania na bobry na wszystkich rzekach syberyjskich, karać surowo przekraczających ten zakaz, po upływie zaś lat 10-iu dozwalać polowania tylko wyjątkowo.

Cholera wśród ptaków. Z Warszawy donoszą, że epidemja cholery poczyna grasować wśród ptactwa domowego. W okolicach przedmiejskich stwierdzono kilka wypadków cholery u kur i gęsi. Ofiarą tej epidemii padł również jeden z białych łabędzi i jeden kaczor na sadzawce w Saskim ogrodzie.

Hodowla strusiów w Afryce. Jeden z osiedleńców w niemieckich posiadłościach w Afryce wschodniej, opowiada w *Deutsche Afrikapost* ciekawe szczegóły o hodowli strusiów. „Przybywszy przed 7 laty — pisze on — do Khougam, zauważyłem, iż we wszystkich okolicznych fermach i koloniach strusie hodowane są jako zwierzęta domowe. U siebie zastałem też już kilka sztuk, pragnąc jednak hodowlę poprawić, wysłałem ludzi do buszmanów w okolicę Mesere, słynną z obfitości strusiów, polecając im schwytać, lub przez handel zamienny pozyskać 18 par młodych strusiów. Z temi dzikiemi ptakami rozpoczęliśmy w trzech miejscach racyonalną hodowlę. Nasze ogrodzone płotem drucianym pastwiska, obfite w alkaliczne pierwiastki, oszczędziły nam kosztów żywienia i po dwóch latach doczekaliśmy się pierwszego lęgu. Z początkiem sierpnia strusie, które już tymczasem wzrosły do 200 par, poczęły składać jaja. Za gniazdo służy im w tym celu dołek w ziemi, wygrzebany dziobem przez samca. Jeśli takiej parze pozostawi się całą troskę o wychów potomstwa, w takim razie samica składa dwa razy do roku po 15 do 20 jaj; jeżeli natomiast prowadzi się wylęg przy pomocy pieca lęgowego, wówczas samica niesie się ustawicznie co pewien czas, od sierpnia aż do początku kwietnia. Wówczas też podbiera się codzień, w miarę nowych lęgów, po kilka jaj z gniazda, już to dla pieca lęgowego, już dla domowego użytku, bo jajo strusie waży 4 funty, więc starczy za 20—24 jaj kurzych. Pracę wysiadywania jaj dzielą starannie między siebie samica i samiec, a zwykle potrzebują na to dni 40. Wykluwając się z jaja, ma już młody struś wielkość średniej kury, a osobliwie wygląda ze swem szczecinowatem najeżonem upierzeniem, na długich cienkich nogach. Dopiero po upływie roku pióra młodych ptaków nabierają wartości. Obcinanie piór u starszych ptaków jest prawie zawsze bardzo niebezpiecznem zajęciem. Temu nader złośliwemu ptakowi trzeba wówczas zręcznie zarzucić worek na głowę, czemprędzej związać nogi, tę jego najstraszliwszą broń, i o ile można najspieszniej obcinać pióra przy samej skórze. Pomimo wszelkich ostrożności, od czasu, jak prowadzę hodowlę, strusie ubiły mi już 11 chłopców z obsługi. Pomimo niskich cen przy bezpośredniej wysyłce świeżo obciętych piór, można jednak mieć z jednego ptaka 110 marek rocznie. Przy piecach lęgowych wzrost naszej kolonii jest tylko kwestyą czasu, niebawem też — ku niezadowoleniu Anglików — stworzymy im silną konkurencyę na targu piór strusich“.

Cenna ostryga. Pewien smakosz, sprowadziwszy sobie zapasik ostryg od R. Dohrmana z Kuxhaven, znalazł w nich dwie nadzwyczaj piękne czarne perły, które od niego chciano zaraz za wcale ładną sumkę odkupić. Smakosz nie sprzedał pereł, lecz podwoił zato zamówienia ostryg i połyka je na wyścigi, w nadziei, że jeszcze w której perły się znajdą. Trudno wiedzieć, co prędzej nastąpi: czy smakosz skompletuje sznur czarnych pereł, czy zginie z przejedzenia?

Skarga szaraka. A niechże licho porwie ten proch bezdymny! Teraz biedny szaraczek nie wie, czy to strzelają, czy grad pada...

Sprostowanie. W korespondencyi ze Starych Brodów w Nr. 3. „Łowca“ wydrukowano błędnie, że hr. K. Łubieński zastrzelił w Bilce „pięć słonek“, powinno być: „pięć cietrzewi kogutów“.

Upraszamy Szanownych członków gal. Towarzystwa łowieckiego o jak najrychlejsze uregulowanie zaległości wkładek za lata ubiegłe i uiszczenie wkładki za rok bieżący, gdyż inaczej będziemy zmuszeni najbliższy numer *Łowca* posłać im za zaliczką pocztową i narazić na dodatkowe koszta.

Do dzisiejszego numuru dołącza się cennik towarów kolonialnych **E. Kaczorowskiego** w Tryeście.

Sekretarz i Skarbnik gal Towarzystwa łowieckiego **Władysław Zontak** ulica Teatralna 18.

Wydawca i odpowiedzialny redaktor **Juliusz Starkel** ulica Zyblikiewicza 5.

Z drukarni Pillera i Sp. we Lwowie.